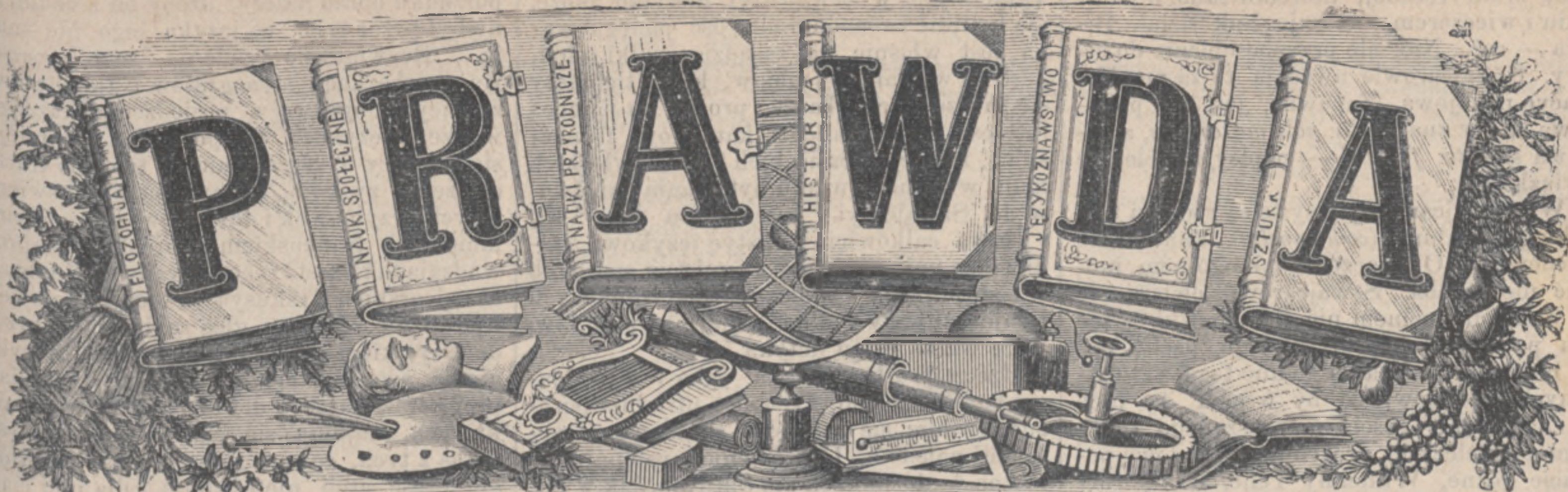
№ 34. Warszawa, dnia 20 (8) Sierpnia 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Veni, vidi... — Spoistość szwajcarska p. T. T. Jeża. — Tydzień polityczny. — Słowa mędrców. — *Życie społeczne*: Swoi o swoich p. Gozdawę. — *Badania naukowe*: Teorya przestępstwa naturalnego II. N. Hirszbanda. — Gawędy filozoficzne XV. p. Robon Dion. — *Literatura i sztuka*: Listy wiedeńskie p. J. M. — Literatura czeska: Zeyer Julian: Libuszin hněw p. Justyna Feliksa Gajslera. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Zygmunta Anatazego. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

VENI, VIDI...

Ks. Koburg, który już dziś, po złożeniu i przyjęciu przysięgi w Tirnowie, jest Ferdynandem I, sprawił rzeczywistą niespodziankę politykom dziennikarskim. Z jego ostrożnych i warunkowych przyrzeczeń, nadewszystko zaś z nietajonych rozczarowań regencyi i jej deputatów, można było wnosić, że on do awanturniczych kroków zdolności nie posiada i odwagi nie czuje, że pragnie dojść do tronu po gruncie prawowitym i ścieżkami starań pokornych. Nagle wyskakuje ze swej siedziby i środ ostrzeżeń wielostronnych śmiało jedzie do Bułgaryi, z tą jedynie arcyskromną kartą legitymacyjną, że, chociaż mocarstwa nie wyraziły mu swej sympatyi, nie oświadczyły się przeciwko jego osobie. Skutkiem tego uznał on się upoważnionym do przyjęcia powierzonej mu godności a na podstawie faktu dokonanego wewnątrz kraju spodziewa się uzyskać zatwierdzenie zewnętrzne. Ryzykowna śmiałość, a nawet awanturniczość nie jest znamieniem rzadkiem w odrostkach wysokiej arystokracyi; przypuszczamy więc, że poniekąd ks. Koburg przedsięwziął swą podróż „na własną rękę.“ Ale w żaden sposób nie możemy uwierzyć dyplomacyi austryackiej, ażeby jej ręka nie była w tej sprawie czynną. Niech sobie *Fremdenblatt* i inne *blatty* piszą a hr. Kalnoky mówi, co chcą, w Wiedniu dano Koburgowi błogosławieństwo na drogę. Austrya od grudnia roku zeszłego uczestniczyła w układach z tym kandydatem, do niej ciągle zwracali się deputaci bułgarscy, ona potrzebuje mieć w sąsiedztwie władców przyjaznych, a teraz, po usunięciu w Serbii Garaszanina i powołaniu Ristieza, potrzebę tę uczuwa jeszcze silniej, nie mogła więc pozostać obojętną. Naturalnie nie powiedziała protegowanemu: jedź i w niebezpieczeństwie licz na naszą pomoc zbrojną; ale niezawodnie powiedziała mu: jedź i licz na nasze dyplomatyczne poparcie, a jeśli pozyskasz przywiązanie narodu, utrzymasz się tem pewniej, że obecnie z Rosyi wieje wiatr pokoju. I pod takiem natchnieniem ks. Ferdynand pojechał.

Jeżeli domysł nasz jest słusznym, a posiada on największe cechy prawdopodobieństwa, niezmiernie ważną, niewiadomą w rachunku cyfrę przedstawia ów naród. Jak on się zachowa wobec nowego władcy? Jedna z gazet niemieckich, przeprowadzając porównanie między Battenbergiem a Koburgiem, obejmującym po nim spadek, trafnie uwydatniła łatwiejszą rolę pierwszego. Osadzony został na tronie przez Rosyę, odbył z Bułgarami zwycięzką wojnę, nie należał do żadnego domu panującego, jako lejtnant pruski nie nawykł do życia zbytkownego a prostotą umiał sobie zjednać lud. Wszystkiego tego brak drugiemu. Należy do rodu królewskiego, katolik, bardzo bogaty, zżyty z kołami najwyższej arystokracyi europejskiej, przyzwyczajony do uciech i rozrywek, których w Sofii nie znajdzie. Ale wchodzi w grę jeszcze czynnik najważniejszy — niezgoda stronnictw.

To też dziś, mając na uwadze ten czynnik zagadkowy i nieobliczony, nie śmiemy prorokować dalszego rozwoju wypadków. Wszyscy przyjmują tylko fakty dokonane, czekając, w jaką logikę one się zwiążą. „Jadę do Bułgaryi — powiada w swej odezwie do mocarstw Ferdynand I — z mocnem postanowieniem uporządkowania zwichrzonych dotąd stosunków kraju, a mam nadzieję w Bogu, że zdołam drogą pokojową zapewnić im błogosławieństwa cywilizacyi i (?) kultury, że je wzniosę na tę wysokość, jaka narodowi przypada w rzędzie oświeconych państw europejskich. Zadanie, które podejmuję, jest szlachetne, wzniosłe, a przytem święte, gdyż pragnę mu poświęcić całe moje życie.“ Są to piękne frazesy, ks. Koburg może wierzy w swoje siły i dobrą gwiazdę, ale dopóki on mówi — daje przyszłości oporę słabą. Trzeba, ażeby przemówił naród — czynami. Wtedy owa przyszłość zarysuje się wyraźniej. Dziś widzimy tylko mgłę, chmury i błyskawice, zgięte w znak zapytania. *Veni, vidi* — woła kandydat na bohatera — ale czy *vici*? Tymczasem przyjmijmy na rachunek dobrych chęci następujące, do bułgarów zwrócone przyrzeczenia. „Z otwartemi ramionami i gorącem sercem przychodzę do was, ażeby z wami podzielić to, co przyszłość w swem łonie kryje i cokolwiek wam gotuje... Wielkiem i wzniosłem jest posłannictwo, które z rąk waszych przyjąłem; nad nami zawisły i cały widnokrąg okryły czarne, burzą brzemienne chmury, lecz większą posiada wagę moje zaufanie do waszego męztwa i wytrwałości. Świętą jest wola narodu i zawsze prowadzi do zwycięztwa.“ Tak, ale czy wawrzyny tego zwycięztwa ozdobią czoło Koburga? Czy on będzie mógł rzec kiedyś: *vici*?

SPOISTOŚĆ SZWAJCARSKA.

Pisząc ze Szwajcaryi, a do tego z Genewy, nie sposób pominąć milczeniem faktu, który się obecnie odbywa i nie jest bez znaczenia. Fakt ów przedewszystkiem słyszeć się daje. Od szóstej rano do ósmej wieczorem ustawicznie w powietrzu brzmi trza-

skot broni ręcznej, któremu rano, o południu i wieczorem, wtoruje huk dział. Bitwa — co?... Nie, ale przysposobienie do bitwy. Szwajcarowie uważają to za manifestacyę pokojową. Zapewne, jest ona pokojową, ale w znaczeniu: *noli me tangere*, a nazywa się: *tir fédéral* — popisy strzeleckie związkowe.

W Szwajcaryi popisy te są rodzaju trojakiego: gminne (*communeles*), kantonalne i federalne. O znaczeniu ich ogólnem mówić nie trzeba. Szwajcarowie ćwiczą się w strzelaniu celnem nie dla zabawki — nie dla psucia prochu, ale dlatego, ażeby byli w możności powitania godnie tego z szanownych sąsiadów, co by wszedł do nich w charakterze gościa nieproszonego. Popisom sztrzeleckim prezydują legendowe postacie różne, Wilhelmy Telle, Winkelridy itp. Unoszą się nad niemi wspomnienia takie, jak bojów pod Morgarten, pod Sempach, pod Grandun itd., szczególnie zaś wspomnienie spisku, znanego w dziejach pod nazwą sprzysiężenia Grütli, które stało się fundamentem bytu Szwajcaryi. W tem ostatniem waga cała. Te strzały karabinowe, co w chwili obecnej przeszkadzają mi przy pisaniu, są to salwy powitalne na cześć zdarzenia, które miało miejsce pięćset lat temu i które, *nb.*, krytyka historyczna w wątpliwość podaje. Niewątpliwym atoli jest fakt, że pięćset osiemdziesiąt lat temu związek szwajcarski zawiązał się i do dni naszych dotrwał, sprowadzając objaw, który w chwili obecnej — w chwili forsownego przerabiania polaków, duńczyków i francuzów na niemców — zasługuje na rozważanie szczególne.

W skład Szwajcaryi wchodzi trzy narodowości: niemiecka, francuska i włoska. Można by jeszcze doliczyć czwartą: *welsz*, stanowiącą podkład w kantonach francuskich, podkład, który się zaznaczyć da etnograficznie i geograficznie. Ale on sam się nie liczy i, jak dotyczas z pretensyami do odrębności narodowościowej nie występuje, więc nie liczmy go. Narodowości trzy — trzy języki — trzy literatury — trojakie zwyczaje i obyczaje: istna mozajka. Gdyby Szwajcarya miała szczęście posiadać monarchę i przy osobie jego księcia Bismarka, mozajka ta byłaby przedmiotem prześladowania wścieklego na zasadzie walki o byt. Jakże bo, na zasadzie tej, obok niemieckiej istnieć by mogła narodowość włoska i francuska! Nie mogłaby — oczywiście. Tymczasem w Szwajcaryi nietylko może, ale kwitnie i różnonarodowość pielęgnowaną jest właśnie na zasadzie walki o byt. Jest to właśnie ów objaw, który tłomaczy się bardzo jasno i bardzo prosto, za pomocą interesu, jaki francuzi kantonów francuskich, niemcy niemieckich i włosi włoskich mają w zachowywaniu bytowania państwowego Szwajcaryi. Interes ten łączy ich i usuwa całkowicie kwestyę językową, stanowiącą najważniejszy z punktów spornych w stosunkach międzynarodowościowych i najdrażliwszy a najboleśniejszy z punktów, jakie walka o byt dotyka.

Rzecz prosta, że taka, jaka w Szwajcaryi panuje, różnojęzyczność utrudnia porozumiewanie się pomiędzy składowemi częściami państwa. Utrudnienie występuje zarówno w stosunkach prywatnych, jak w publicznych. Na pierwsze rady innej nie ma, jak ta, do której się ludzie uciekają powszechnie, ucząc się języków obcych. To nie stanowi kwestyi. Występuje ona w stosunkach publicznych, w tych mianowicie, w których się kantony schodzą na spólnym gruncie rządu związkowego. Tu, biorąc za miarę to, co się praktykuje na Węgrzech, w Czechach, w Galicyi i gdzieindziej, powinna była nastąpić kłótnia o język panujący. Możeż państwo istnieć bez języka panującego? Szwajcarya jest dowodem i przykładem, że może. Kwestyę tę rozstrzygnęła w ten sposób, że język panujący usunęła. Nie masz go. Nie ma w Szwajcaryi języka panującego, państwowego, a raczej, jest panowanie trójjęzykowe, albowiem wszystkie trzy mowy posiadają całkowite, bezwarunkowe i bezwzględne równouprawnienie, bezwzględne tak dalece, że, gdy w którym naprzykład z kantonów francuskich wybiera się deputowany do izb związkowych wyborcom bynajmniej nie chodzi o to, czy przedstawiający się kandydat po niemiecku i po włosku mówi i z kolegami z kantonów niemieckich i włoskich porozumieć się w dyskusyach potrafi. Chodzi im o to, czy i jak interesów kantonu bronić w razie potrzeby i przedstawiać je zdoła. Nie pytają o polyglotyzm. Często się też zdarza, że poseł, z wyjątkiem rodzinnego, nie włada żadnym innym językiem. Mimo to porozumiewa się i z zadania swego wywiązują się ku zadowolnieniu tak wyborców, jak kolegów. Jakże się to dzieje?

Prosto i naturalnie. Każdy z posłów w Izbie przemawia językiem swoim i do porządku obrad należy, ażeby on zrozumiany był przez tych, co języka jego nie znają. Rozwiązanie zadania tego spoczywa na barkach stenografów i tłomaczów, zdających sprawę z posiedzenia każdego w trzech językach. W sposób ten rozumieją się wszyscy i obrady nic na tem nie tracą, owszem, zyskują, pozbywają się bowiem owych przymówek i dowcipów, które w parlamentach francuskiem i angielskiem sprowadzają tak częste sceny burzliwe. W Izbach szwajcarskich dyskusya ta toczy się powoli i poważnie. Mówcy, głos zabierający, przedewszystkiem badają kwesye, o których opinię swoją dają i wykładają rzecz, jak profesor z katedry dla słuchaczy, w gronie których znajdują się cudzoziemcy. Część jakaś z tych, co innego są języka, rozumie go; część atoli nie rozumie i dla niej ciąg dalszy obrad odkłada się do posiedzenia następnego, na które schodzą się wszyscy dokładnie już o przedmiocie powiadomieni. Głosowanie następuje, gdy nikt ani objaśnienia nie żąda, ani się do mowy nie zgłasza. Dyskusyę to przedłuża, ale za to broni od ustaw, uchwalanych pospiesznie i nierozważnie, co się tak często, niestety, w parlamentach innych przytrafia. Utrudnienie to przeto wychodzi szwajcarom na dobre. Nie słyszeliśmy o burzliwych ich związkowych posiedzeniach, ani też o uchwalaniu praw okolicznościowych, które albo zastosowania znaleźć nie mogą, albo też w zastosowaniu sprowadzają zamęt i niezadowolnienie, pomimo że, zdawałoby się, przy obradach panować powinna, z powodu różnojęzyczności, wieża Babel. Jeden przemawia po niemiecku, drugi po francusku, trzeci po włosku. Ten kaleczy mowę Göthego, wymawiając *isz* zamiast *ich* i *niszt* zamiast *nicht*; do owego by się J. J. Rousseau przyznać nie chciał; w tamtym by Dante ani Tasso spółziomka swego nie poznał. Mimo to parlamentarne obrady i obrad tych wyniki, wychodzące z pałacu związkowego w Bernie, podawać można za wzór parlamentom wszystkim na świecie.

W parlamencie przeto, na polu, na którem gadanie odgrywa rolę główną, kwestya różnojęzykowości znalazła rozwiązanie pomyślne. W ten sam sposób rozwiązaną ona została na innem polu, na którem się interesa kantonów schodzą, a mianowicie: w trybunale federalnym — sądzie najwyższym, rozstrzygającym sprawy sporne w ostatniej instancyi. Przed kratkami stają strony,

---

SŁOWA MĘDRCÓW *).

Księga doświadczenia.

Świat należy do Boga, który go oddaje w dziedzictwo człowiekowi.

Mahomet.

Świat jest własnością tego, kto go bierze.

Przysł. weneckie.

Nikt nie mierzy głębokości rzeki odrazu obiema nogami.

Przysł. afrykańskie.

Gdyby tę samą rzecz można było dwa razy robić, wszyscy bylibyśmy mądrzy.

Przysł. szkockie.

Dziecko jest ojcem mężczyzny.

Wordsworth.

Czas nie słyszy poufnych słów, które rodzice szepcą dzieciom; ale jak echo sklepień na odległym końcu słowa te odzywają się i dochodzą do uszu potomności.

J. Paul.

Gałęzie są świadectwem korzeni.

Przysł arabs.

Długą jest droga przez naukę, krótką i skuteczną przez przykłady.

Seneca.

Pewien rabi rzekł: wiele nauczyłem się od mistrzów, więcej od towarzyszów, a najwięcej od uczniów.

Talmud.

Duch pogwałcony ślepnie.

Ali.

Kora, jak sałata, powinna zawierać więcej oleju, niż octu.

Logau.

Człowiek żałuje straty mienia, a nie żałuje straty czasu.

Talmud.

Kto nie czyni prędko tego, co czynić, wziąć i dać powinien, temu czas odpija rozkosz.

Przysł. indyj.

W wielkim sklepie Boga dostać można tanio wszystkich towarów za pracę.

Przysł. niem.

Jeżeli dla człowieka największą wartość ma życie, posiada ono niewielką.

Seume.

Staraj się o wiedzę, jak gdybyś żył wiecznie, a o cnotę, jak gdyby cię śmierć trzymała za zjeżone włosy.

Indyj.

Nowe sukno i zamiary ludzkie bardzo się zstępują.

Niem.

Człowiek wyższy podobnym jest do rozumnego strzelca. Gdy nie trafi w cel, odwraca się i szuka przyczyny chybienia w sobie.

Konfucyusz.

Lepiej swój krzyż nieść, niż go wlec.

Przysł. bretoń.

Cierpliwość jest gorzką, ale jej owoce słodkie.

Sadi.

W nieszczęściu, a nie w szczęściu okazuje się siła wielkich ludzi: gdy drzewo aloesowe wpadnie w ogień, pachnie mocniej, niż przedtem.

Ind.

Błoto ukryje rubin, ale go nie splami.

Drzewo, powalone przez burzę, miało więcej gałęzi, niż korzeni.

Chiń.

Próżny garnek pęka przy ogniu.

Niem.

Rosa zjada żelazo, a troska serce.

Przysł. rosyj.

Dość cierpienia, gdy przyszło.

Talmud.

Lekka troska mówi, ciężka milczy.

Arabs.

Rozumny umiera chętnie i nie żebrze.
Ogień gaśnie, a nie ziębnie.

Ind.

*) Pod tym tytułem wyszedł świeżo po niemiecku ciekawy zbiór ziaren mądrości na podobieństwo *Księgi ksiąg*, z której wyjątki w swoim czasie na tem miejscu podaliśmy.

mówiące nie inaczej, jak bądź po niemiecku, bądź po francusku, bądź po włosku. Trybunał zasiada w Lozannie, na gruncie francuskim; prezydentem jego bywa często niemiec. Zazwyczaj zna on, jako człowiek wysoko wykształcony, języki krajowe, lecz językoznawstwo nie stanowi dla niego warunku koniecznego.

Pozostaje jeszcze punkt jeden, w którym różnojęzyczność jest powszechnie przedmiotem tłumienia, usprawiedliwianego najżywotniejszemi interesami państwowemi. Co by to za wrzawa podniosła się np. w Austryi, gdyby kto wprowadzenia do komendy wojskowej języków narodowych zażądał! *Neue Freie Presse* o zdradę by pomówiła. Federacya austryacka uważałaby się za zagrożoną straszliwie, gdyby przed szeregami węgierskimi, czeskimi, polskimi, rumuńskimi nie brzmiała niezrozumiała dla nich mowa niemiecka. Federacya szwajcarska i tu ustępstwo uczyniła, a zawsze z tej racyi, że się uważa za służebnicę narodu. Bataliony, szwadrony i baterye francuskie posługują się regulaminem, pisanym w języku francuskim, niemieckie — w niemieckim, włoskie — we włoskim. Jednakowość tyczy się organizacyi, umundurowania, uzbrojenia i szkoły. Narodowość stanowią dywizye i te, schodząc się na przeglądach dla ćwiczeń w masach, idą pod kierownictwo wodzów, udzielających im rozkazów za pośrednictwem oficerów sztabowych w taki dobranych sposób, ażeby do francuzów przemawiali francuzi, do niemców niemcy, do włochów włosi. Nie sprawia to mitręgi najmniejszej. Wojska szwajcarskie na przeglądach wielkich, powtarzanych rokrocznie, manewrują, pomimo różnojęzykowości, zgodnie i świetnie. Przyznają im to powagi wojskowe francuskie i niemieckie. Że zaś nie wadziło by im to w czasie wojny, przekonany o tem jestem z doświadczenia własnego. W r. 1849 na Węgrzech, w bitwie pod Nagy Sarlo, batalion grenadyerów galicyjskich oddał się w niewolę szesnastu huzarom dla tego tylko, że oficerowie do żołnierzy przemówić nie umieli.

Popisy tego rodzaju odbywają się w chwili obecnej w Genewie właśnie.

Są to zarazem i święta narodowe. Genewa się przystroiła wspaniale w wieńce, girlandy, festony, flagi, w bramy tryumfalne. Gości w murach swoich strzelców związkowych, których po kilkaset kantony jeden po drugim przysyłają. Przybywają tedy szwajcarowie pierwotni, zuganie, urisanie, unterwaldzianie, szwycanie, potomkowie allemanów, niemcy, w żyłach których niema kropelki krwi niemieckiej; przybywają zuryszanie, turgowianie i inni, również niemcy; przybywają berneńczycy i friburżanie, niemiecko-francuscy mieszańce: hesseńczycy włosi czyści, walezanie na pół włosi, gryzony włocho-niemcy; przybywają, procesyonalnie przez miasto przeciągają, sztandar związkowy swoim witają, do popisów stają i następnie do uczty spólnej zasiadają. Przy stołach gromadzi się po 4 do 5 tysięcy osób. Wieczorami widowiska i igrzyska, a przy sposobności każdej mowy patryotyzmem nabrzmiałe. Narodowości się zbliżają, zapoznają i łączą w jednym duchu — w duchu miłości ojczyzny i w jednej myśli, obrony tejże ojczyzny od napaści czyjejbądź, francuskiej, niemieckiej czy włoskiej. Szwajcarów nie rozrzewniają bynajmniej wielkości i sława sąsiadów i nie życzą sobie zgoła, ażeby na nich z Francyi, Niemiec lub Włoch splendory w zamian za niezależność spłynęły. Wyobrażają oni doskonałą, patryotyczną — że się tak wyrażę — różnojednię, dla utrzymania której narodowość jedna czyni drugiej ustępstwa wszystkie tak, że francuzi, niemcy i włosi szwajcarscy rozwijają się po swojemu ze swobodą niczem nie ograniczoną. „Z Lugano do Berna, z Berna do Genewy, taką jest marszruta najświeższa sztandaru związkowego — wyraził się p. Gobat, wręczając sztandar genewczykom. W przeciągu lat czterech sztandar helwecki dwa razy powiewa na granicy, najprzód na wybrzeżach jezior włoskich, dziś o kroków kilka od ziemi francuskiej. Naród, którego historya podjęła się dowieść światu, że rozmaitość pochodzenia, obyczajów, religii i języków nie stanowi zapory politycznej, Szwajcarya nie lęka się wywieszać godła swego na granicach swoich państwowych, ponieważ barwy jej są sztandarem pokoju, postępu społecznego, roztropnego i przezornego i braterstwa ludów.“ Powinien był jeszcze dodać: „Pod warunkiem, ażeby jej nikt nie zaczepiał.“ *Noli me tangere.* Popisy strzeleckie w Genewie uważać można za przestrogę przyjacielską pod adresem Francyi na wypadek, gdyby jej w oczekiwanej z dziś na jutro wojnie z Niemcami wydało się rzeczą potrzebną neutralność szwajcarską zgwałcić.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gazety wiedeńskie tak dalece chcą osłonić swój rząd od pozoru współwiny w wyprawie Koburga po „miłe wspomnienia“ do Bułgaryi, że — według nich — hr. Kalnoky miał go jeszcze w drodze ścigać i wspominać, ażeby się cofnął. Można to między bajki włożyć. Za to wierzyć można telegrafowi, że Rosya przesłała swój protest Turcyi, ta zaś — jak zwykle przygotowywa okólnik do mocarstw, zapytując je, czy ma się gniewać na śmiałka, czy też powitać go uprzejmie. Dotąd bąka ona tylko sakramentalne i nikogo już nieprzerażające słowa: „traktat berliński.“ Z tego traktatu drwi każdy — więc zadrwił sobie z niego i ks. Koburg. Bo oto zasiadłszy na tronie, tak przemówił do swych poddanych: „My, Ferdynand I, z Bożej łaski i *z woli narodu* książę Bułgaryi, złożywszy przysięgę uroczystą przed wielkiem zgromadzeniem narodowem w starożytnej stolicy bułgarskiej, oznajmiamy noszemu ukochanemu ludowi, że obejmujemy ster rządów w kraju, że będziemy rządzili zgodnie z konstytucyą, że jesteśmy gotowi poświęcić wszelkie starania i trudy dla zapewnienia krajowi pomyślności, wielkości i sławy, że poświęcimy nawet życie nasze dla jego szczęścia.

Wstępując na tron przesławnych królów bułgarskich, uważamy za obowiązek nasz święty wyrazić dzielnemu i walecznemu narodowi bułgarskiemu naszą serdeczną wdzięczność tak za stwierdzone wyborem swoim zaufanie do nas, jak i za patryotyczne i roztropne zachowanie się w trudnych chwilach, jakie kraj przeszedł. Wysiłki bohaterskie, jakie naród podjął w obronie swoich praw, swojego bytu i swoich interesów, zjednały mu sympatye całego świata cywilizowanego i zbudziły ufność w jego siły żywotne, dowodząc, iż godnym jest przyszłości świetniejszej i szczęśliwszej.

Składamy nasze podziękowanie rejentom i ministrom za ich pełne roztropności sprawowanie rządów państwa, dzięki któremu umieli ocalić niepodległość i wolność naszego kraju. Przekonany, że naród i jego waleczna armia otoczą tron nasz i dopomogą nam w staraniach naszych około zapewnienia szczęścia ojczyźnie, prosimy o błogosławieństwo niebios dla wszystkich czynów i postanowień naszych w przyszłości. Niech

---

Kto ciągle wydaje, nie bacząc *co*, dochodzi do kija żebraczego, nie wiedząc *jak*.

Arab.

Kto chce dowiedzieć się, ile wart talar, ten niech pójdzie i zechce go pożyczyć.

Niem.

Wszyscy jesteśmy braćmi, ale nasze miski nie są siostrami.

Niem.

Biedaka unikają wszyscy, jak kurz z pod kopyt kóz, osłów lub miotły, jak lampę, która nie świeci.

Ind.

Człowiek biedny ma krótki rozum, koń chudy — długie włosy.

Mantschu.

Przysłowie biedaka nie rozpowszechnia się.

Murzyń.

Jak można zostać bogatym? Będąc biednym w żądzach.

Kleantes.

Długie suknie krępują ciało, wielkie bogactwa — duszę.

Sokrates.

Bogactwo prędzej czyni twardem serce, niż wrząca woda — jajko.

Börne.

Złoto najbardziej tam świeci, gdzie cnota zgasła; gwiazdy błyszczą wtedy, gdy słońce zajdzie.

Young.

Zwierzę drapieżne ujawnia swoją naturę na widok koni, człowiek — na widok złota.

Flieg. Blätt.

Srebrny młot rozbija żelazną bramę.

Niem.

Kto strzela złotemi kulami, niewątpliwie trafia.

Niem.

Bogactwo podobne wodzie morskiej: im więcej pijesz, tem mocniejsze uczuwasz pragnienie.

Schopenhauer.

Siedmioro nigdy nienasyconych, chociażbyś je jak najbardziej napchał: ksiądz, ogień, śmierć, pan, morze, brzuch i dom.

Ind.

Chciwiec nie jest nigdy syty, dopóki nie ma pełnych ust ziemi.

Niderl.

Łatwiej igłą wyrwać górę z korzeniem, niż samolubstwo z serca.

Pers.

Mam trzy złe suki: niewdzięczność, pychę i zazdrość; kogo te psy ukąszą, ten ciężko zraniony.

Luter.

Zawiść jest prawdziwą sową, która nie znosi światła cudzego szczęścia.

Winkler.

Wieżę zmierzysz jej cieniem, wielkiego człowieka — jego zawistnikami.

Chiń.

Dwu nienawidzącym się cały świat jest za ciasny.

Arab.

Najciaśniejszem więzieniem jest obcowanie z nienawistnym człowiekiem.

Pers.

Miłość jest jednooką, ale nienawiść całkiem ślepą.

Duńs.

Gdy łotr cię pieści, policz swoje zęby.

Talmud.

Czy źli od myszy, czy myszy od złych nauczyły się, dość że nic robią nic innego, tylko podkopują cudze domy.

Ind.

Węgiel nie będzie białym, chociaż go umyjemy mlekiem.

Chiń.

Zły człowiek nie ukryje swojej natury; psi ogon pozostanie krzywym, chociaż go ogrzejemy i wysmarujemy.

Ind.

Zły człowiek jest podobny do naczynia glinianego: łatwo się tłucze a trudno spaja; dobry — do złotego: trudno się tłucze a łatwo spaja.

Ind.

Gdy dąb leży powalony, każdy przychodzi rąbać zeń drzewo.

Łaciń.

Gdy jednemu dom się pali, drugi grzeje się przy ogniu.

Indostan.

żyje Bułgarya *wolna i nieskrępowana w wykonaniu swych praw!* Ferdynand.“

O traktacie berlińskim, o mocarstwach poręczających go, o Turcyi — ani słowa. Natomiast okrzyk na cześć „wolnej i nieskrępowanej Bułgaryi.“ Wobec tego: „niech żyje“ musiała udać zdziwienie i przerażenie nawet *Nordd. Allg. Ztng.* „Jeżeli depesze bułgarskie— powiada ona — okażą się zgodnemi z prawdą, natenczas stwierdzić wypadnie tem donioślejsze złamanie traktatu, którego polityka Niemiec uznać nie może. Zaszłe wypadki nie zdołają ludowi bułgarskiemu zjednać sympatyi tych mocarstw, które pragną utrzymania pokoju.“

Tere-fere! Koburg miał sympatyę Niemiec, gdy wyruszył z Ebenthalu i wiedział z Berlina, jaki kawałek traktatu berlińskiego odłamać może.

Pokojowe zapewnienia lorda Salisburego, pokojowy koziołek *Kreuzzeitung*, która nagle przytkała dudę wojenną — te i tym podobne błyskawice na pogodę utonęły teraz w chmurach bułgarskich. A ponieważ pruska *Post* niedawno wyznała szczerze, że podniecanie trwogi w Europie jest obowiązkiem patryotycznym rzetelnego niemca, gdy przyczynia się do podtrzymania przyjaznej Bismarkowi większości parlamentarnej, więc możemy być przygotowani na huk — nie armat — ale bębnów wojennych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SWOI O SWOICH.

„Szlachtożercami“ przezwani postępowcy naprożno usiłowaliby dowodzić, że w zasadniczych poglądach na układ stosunków społecznych nie kierują się uprzedzeniem lub nienawiścią, że współdziałanie wszystkich warstw narodu w pracy wspólnej uważają za konieczne i pożądane i, że jeśli owo miano tak niezasłużenie im się dostaje, wypływa to z powodów prawdomówności, jaką stosują w ocenie działań bądź jednostki bądź stanu całego, co nie za błąd, lecz za zasługę poczytywane być winno.

Nie wystarczy i nie uspokoi tego rodzaju zapewnienie wzburzonych przyjaciół „klasy dominującej.“ Kult wzajemnej adoracyi i bezkrytyczna ocena, na całej linii konserwatyzmu i wszystko, co o krok jeden wyjdzie po za granice uwielbień i uznania, piętnowane jest mianem odstępstwa, zdrady, nienawiści.

Nie małą zatem przyczyną podziwu jest dla nas wydawnictwo sfer reprezentujących większą własność i z godną uznania otwartością, karcące błędy „naszych ziemian.“ Pod skromnym tytułem *Sprawozdania z wystaw inwentarza żywego* pojawiła się książka, której treść istotna w świetle bezstronnej krytyki dosadnie maluje bezradność i nieumiejętność kierowników najważniejszego działu pracy krajowej.

Z tytułu i pojedynczych rozdziałów książki sądzić może czytelnik, że przedmiotem jej jest suchy protokół ubiegłych wystaw rolniczych, lecz wczytanie się uważne w poglądy sprawozdawców komisyi i całego komitetu łatwo przekona, iż mamy tu materyał do należytej oceny ziemian z podwójnego punktu: jako rolników i obywateli.

Sprawozdanie zawiera na początku przedwstępny pogląd komisyi wystawowej na minione 6-lecie. Uwagi jej nad przyczynami niepowodzenia wystaw, wynikającemi z powodów natury zewnętrznej, pomijamy na teraz. Zastanawiając się nad położeniem krajowej hodowli z przed 1880 roku, komisya nazywa je opłakanem i świadczącem, że kierownicy jej najmniejszego o rzeczy nie mieli pojęcia. „Każdy z nich obierał sobie drogi podług swego widzimisię, bardzo często błędne i do praktycznego celu nieprowadzące... Wśród takiego chaosu pojęć i przyjętych kierunków, obowiązkiem było komisyi dążyć do ich rozjaśnienia.“ I dalej: „Jeśli konie zwłaszcza nie znalazły dosyć nabywców na zachód, a nawet miejscowych nie są w stanie zaspokoić żądań, jak to np. Towarzystwo warszawskiej kolei konnej itd., to głównie dlatego, że okazy nie odpowiadają praktycznym żądaniom poszukujących, a nadto, że ceny stawiane przez wystawców, są po większej części nadmierne.“

Charakteryzują nieobecność rolników w naradach, mających na celu wyświetlenie stanu ich przedsiębiorstwa i szydząc z haseł bezgranicznej „oszczędności“ na czele niby-programów ziemiańskich, *Sprawozdanie* mówi:

„Oszczędność w wydatkach, do ostatecznych granic idąca, jest niewątpliwie głównym dziś środkiem ratunku dla każdego, a zwłaszcza też dla ziemian tego kraju, ależ z drugiej strony, nieraz rada światła, zbiorowo, żywem słowem podana, rozświetla drogi postępowania nadal, wskazuje środki podnoszenia dochodów i oszczędność istotnie skuteczniejszym, bo będzie z czego oszczędzać w skutek właśnie podniesionych dochodów rozumowanym i na rachunku opartym kierunkiem gospodarstwa i hodowli osiągniętych.“

Wiadomo, że rolnicy, którzy ze swych niedołężnie prowadzonych gospodarstw nic mogli nie okazać, należeli do „malkontentów,“ krytykowali wystawy i zatopieni w polityce agitowali przeciwko „tym pankom z Placu Ujazdowskiego.“ Jakże im słusznie odpowiada *Sprawozdanie*:

„La critique est aisée, mais l'art est difficile.“ Zapytujemy, czy rozumniej jest u nas, nie mogąc szerzej i lepiej, nic nie robić, niż w granicach możliwości, dokładać starania, aby np. taka ważna gałąź produkcyi i bogactwa krajowego, jaką jest hodowla, nie szła dalej bezmyślnie?..“

Z wielką znajomością przedmiotu i szczęśliwym nieraz humorem, p. Wojciech Poletyłło, sprawozdawca z wystawy koni, mówi o gałęzi produkcyi, do której zamiłowanie polak podobno z krwią matki wysysa. Warto posłuchać o tem naszem „wrodzonem zamiłowaniu“ i o pracy potomków rycerstwa polskiego.

Zanim autor do właściwego przedmiotu przystąpił, poprzedził go wstępem, z którego parę zdań wyjmujemy:

„Do pierwszej wystawy rzucono się z zapałem; posiadała bowiem urok nowości... Następne przyjmowano coraz oziębiej. Że się tak stanie, było do przewidzenia, bo u nas, niestety, zapał trwa krótko.“

Wspomina p. P. o usiłowaniach Tow. wyścigów konnych, mających na celu zebranie materyałów statystycznych co do hodowli koni w kraju. Zabrano się raźno do rzeczy, wyznaczono delegacye, wysłano szemata i... „gdy komitet wystawy spodziewał się rezultatów, to wiadomości nadchodziły tak opieszale i w tak małej ilości, że *złożono rzecz całą ad acta*. Prawdopodobnem jest, że w zapale i uroku pierwszych wystaw rezultat byłby pomyślniejszym, gdyby nie stanęły na przeszkodzie zwykłe u nas: lenistwo i lekceważenie, okazywane przez jednostki dla tych cząstek zbiorowej pracy, które im

---

Gdy mi brodę ogień ogarnie, inni zapalają sobie u niej fajki.

Tureck.

Przyjaźń głupca jest uściskiem niedźwiedzia.

Pers.

Głupcowi trzeba zejść z drogi: strzałą swej mowy rani on nas jak cierń ślepego.

Ind.

Kret słyszy w swej norze śpiew słowika i mówi: co to za nierozsądek fruwać i śpiewać.

Geibel.

Człowiek jest nieprzyjacielem tego, czego nie rozumie.

Ali.

Wyśmiewanie mędrców jest przywilejem głupców.

La Bruyere.

Osioł dźwigający wiele ksiąg nie jest przez to mędrszy.

Osioł zachowuje swoje uszy, chociaż je grecki oset.

Duńs.

Boże, strzeż mnie od wszystkich, którzy przeczytali tylko jedną książkę.

Niem.

Uczona głowa mówi nawet po śmierci.

Niem.

Atrament uczonych jest cenniejszy, niż krew męczenników.

Mahomet.

Uprawiać nauki a nie lubić ludzi jest to zapalić pochodnię i zamknąć oczy.

Chińs.

Mędrzec wstrzymuje się ze słowami: nie zaczyna grać, dopóki fletu nie nastroił; głupiec wyrzuca zielone wyrazy, zanim dojrzały.

Angiels.

Nierozumny nosi serce w ustach, rozumny — język w sercu.

Ali.

Milcz, albo powiedz coś, co jest lepszem od milczenia.

Niem.

Łatwiej rozżarzony węgiel utrzymać na języku, niż tajemnicę.

Sokrates.

Nie należy nigdy pokazywać ani dna kieszeni, ani serca.

Włosk.

Wypowiedziane słowo jest twoim panem, zamilczane — służącym.

Franc.

Wartości mędrca skryć nie można, mimo że on sam ją chowa, podobnie jak moszus, chociaż zamknięty, rozszerza woń swoją.

Arab.

Kto się nie nadyma, nie pęknie.

Niem.

Osioł dlatego źle śpiewa, że z wysoka zaczyna.

Niem.

Ptak Titibha śpi z nogami ku górze zwróconemi, przekonany, że inaczej niebo zwaliłoby się na niego.

Ind.

Jeżeli Bóg chce zgubić mrówkę, pozwala, ażeby jej skrzydła wyrosły.

Arab.

Dorobkowicz podobnym jest do człowieka, który po raz pierwszy wszedł na wysoką wieżę: czuje zawrót głowy, a ludzie wydają mu się karłami.

Fleg. Blätt.

Im szlachetniejsze serce, tem skromniejszy kark.

Niem.

Syn może przynieść zaszczyt ojcu, ale nigdy ojciec synowi.

Talmud.

Nie chodzi o to, jak się rodzimy, ale o to, jak umieramy.

Królowa Krystyna.

Nie poznaje się wina po beczce, a człowieka po ubraniu.

Franc.

powierzone zostały, a której wyniki w wykończonej całości dla całego ogółu wpływ pożyteczny wywrzeć są w stanie.“

Czyż to nie charakterystyczne? Czyż słowa te nie wartoby wyryć na tablicy „zasług narodowych“ i pokazywać je zagorzałym chwalcom energii i żywotności ziemiaństwa? Lecz niedość na tem. Pokazał nam tu p. P. jedną stronę medalu: udział jednostek w zbiorowej pracy; zobaczmy, jak się one wywiązują z zadań osobistych.

Najjaskrawszym patentem nieumiejętności kilkudziesięcioletniej hodowli krajowej, według autora, jest niedbały i bezsensowny wybór reproduktorów, który doprowadził do zdegenerowania rasy i zatracił ślady sławnych niegdyś polskich koni.

„Polak do konia się rodzi“ — mówi p. P. — i każdemu zdaje się, iż posiada zdolność i umiejętność produkowania dobrych koni. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie, bo nietylko chować koni nie umiemy, ale nawet ów „polak, co się do konia urodził,“ rzadko dziś na nim jeździ. Przytem, pierwszemu lepszemu nieukowi zachciewa się zostać nowym Bakewellem, o którego sławie gdzieś z opowiadania zasłyszał, a stąd zamiast iść ubitemi drogami, według wskazówek, mogących doprowadzić do pewnych rezultatów, tysiącznemi doświadczeniami pomyślnie wykonanemi stwierdzonych, mnóstwo hodowców wyszukuje z upodobaniem najdziwaczniejsze kombinacye krzyżówek, robi je bez najmniejszego sensu i nie doszedłszy do niczego, a raczej do strat i rozczarowań, hodowli zaprzestaje, wyrzekając na nią i dowodząc z zapałem, że jest rzeczą czczą i nieprodukcyjną.

Dowodzenia tego rodzaju — słuszne i prawdziwe — przepełniają referat p. Poletyłły i innych sprawozdawców. Nie przytaczamy ich obszerniej, bo jako zbyt specyalne, nie interesowałyby może czytelników; faktem jest jednak, że z całego szeregu rezultatów, jakie nam *Sprawozdanie* podaje, wypływa charakterystyczna a bardzo ujemna ocena ludzi, którzy przewodniczyć chcą narodowi.

Słowa tu i owdzie dla ozłocenia pigułki rzucone, nie zasłonią bielmem oczów uważnego badacza.

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA PRZESTĘPSTWA NATURALNEGO.

II.

Przechodzimy do drugiej podwaliny altruizmu społecznego. Wyradza się ona z odtwarzania w myśli przykrości, jakich doznają teraz lub jutro bliźni nasi, gdy się ich ścieśnia i krępuje w pogoni za szczęściem i unikaniu niedoli, innemi słowy, z chęci zapewnienia wszystkim jednakowych warunków bytu. I ten instynkt jest nam już wrodzony, obraca się on około poszanowania cudzego mienia i praw a może być nazwanym *uczciwością*. Pogwałcenie go stanowi drugi rodzaj występku naturalnego. Samo się rozumie, że uczciwość zna najrozmaitsze stopnie, od najniższego, zasadzającego się na wstręcie do oszustwa, kradzieży i podstępu, aż do tak wzniosłych, jak uprzedzająca delikatność, która nie przyjmuje pochwały, jeśli się nie czuje jej godną. Pierwszy odpowiada stronie negatywnej miłosierdzia i ze swej strony wyobraża konieczną przynależytość natury ludzkiej. Z chwilą zaś, gdy się uszlachetnia i przechodzi w dbałość o słuszne zbogacenie kogoś — przestaje być nieodstępnym czynnikiem jednostki uspołecznionej. Mnóstwo zdarza się przestępstw w świecie finansowym i przemysłowym, które kosztem wynalazcy przysparzają majątku jego współzawodnikom — nie mniej takich, które uszczuplają dochody skarbowe. Wszelkiego rodzaju podrabianie towarów, etykiet, naśladowanie pomysłów technicznych, psuje harmonię i gwałci sprawiedliwość, a jednak żadne prawodawstwo wszystkich przestępstw ścigać nie może i nie chce, a mało jest ludzi, chociażby ze sfer najwyżej umoralnionych, którzyby wahali się palić cygara sprowadzane kontrabandą. Dowodzi to, że powyżej minimum uczciwości, nad jej podkładem najdolniejszym instynkta zaczynają być względnymi i władze karzące państwa mniej oburzają. Część winy ponoszą również ustawy cywilne — one bowiem swem zawikłaniem sprzyjają sofistyce i utrudniają oddzielenie zbrodni od zwyczajnego sprytu spekulacyjnego. Niemniej przeto szalbierstwa handlowe, nawet tak pospolite, jak dobrze upozorowane bankructwo, nawet takie, jak zwłoka w zapłacie długu, umyślna, niespowodowana brakiem funduszów — jest krzywdą, pogwałceniem najelementarniejszego poczucia moralnego i winna być zaliczoną do szeregu występków naturalnych.

Jest jeszcze parę odmian przestępstw, wobec których moralność zachowuje się dosyć obojętnie, pomimo iż pozornie kłamią one owemu najpobłażliwszemu probierzowi moralności, mianowicie: srogość i okrucieństwo na wojnie oraz przestępstwa polityczne. Dlaczego na tamte patrzymy przez palce, choć zdradzają zupełny brak litości, która ma stworzyć pierwszą podstawę altruizmu, a te otoczone bywają w niektórych krajach pewną sympatyą? Na to Garofalo odpiera, że wedle podanych określeń występek naturalny musi być *szkodliwym* dla ducha organizacyi. Skoro zaś walki międzynarodowe mają na celu obronę własną, przeto tutaj o szkodliwości okrucieństwa nie może być mowy. Jest to stan rozstroju, stan przejściowy, do którego całkiem inny stosować trzeba probierz. Wszelkie zamachy na formę rządu Garofalo uważa za objaw walk wewnętrznych i w granicach ludzkości ma dla nich przebaczenie; gdy jednak posługują się rozlewem krwi, ogniem i mieczem i puszczają w kurs cały aparat okropności — wówczas stają już jawnie w poprzek postulatowi negatywnej litości i nabierają cech występku naturalnego.

Tak więc utworzyły się dwie wielkie kategorye czynów rdzennie karygodnych. Pierwsza, wyobrażająca pokalanie uczucia litości, obejmuje: krzywdy cielesne, zadawanie ran, kaleczenie, surowe obchodzenie się z podwładnymi, wpędzanie w chorobę, obciążanie pracą dzieci, przeszkadzanie ich prawidłowemu rozwojowi, o czem jednak kodeksy milczą, porwanie gwałtowne, oszczerstwo, zniesławienie, uwiedzenie podstępne itp. Do drugiej zaliczyć wypada występki przeciw uczciwości: kradzież, grabież, łupiestwo, podpalanie, niewypłacalność, podstępne bankructwo, zdradę tajemnicy, plagiat, wszelkie podrabianie fabrykatów, fałszywe świadectwa, podrzucanie dzieci, niszczenie aktów stanu cywilnego itd.

Każdy dojrzy z łatwością, że w powyższych kadrach pominięto bardzo wiele czynów, jednogłośnie uważanych za zbrodnicze. Niema tam przestępstw przeciwko pań-

---

Honor stracić może ten tylko, kto nie ma żadnego.

P. Syrus.

Honor, wiara i oko nie lubią żartow.

Franc.

Honor jest zewnętrznem sumieniem, a sumienie wewnętrznym honorem.

Schopenhauer.

Raj jest pod cieniem mieczów i pod stopami matek.

Mahomet.

Są trzy korony: prawa, kapłaństwa i królestwa; ale wyższą od wszystkich jest korona dobrego imienia.

Talmud.

Niesława sięga do morza, sława pozostaje na progu drzwi.

Bretoń.

Strzeż się wejść ludziom w usta, bo rzadko z nich wyjdziesz.

Niem.

Dobra sława jest jak cyprys: raz odcięta nie odrasta.

Włos.

Kto innych obok siebie czyni małymi, nie jest nigdy wielkim.

Seume.

Nie należy brudnymi palcami wytykać plam cudzych.

Franc.

Muchy szukają ran, pszczoły — kwiatów, dobrzy ludzi — przymiotów, pospolici — błędów.

Ind.

Kto za wiele mówi o innych, spala sobie język.

Winkler.

Jad potwarzy psuje odrazu trzech ludzi: tego, który ją wymawia, tego, który jej słucha i tego, którego dotyczy.

Talmud.

Oszczerca ma dyabła na języka a jego słuchacz — w uszach.

Niem.

Nikt nie rzuca kamieni na drzewa bez owoców.

Sadi.

Więcej cenionym bywa nieco ozłocony kurz, niż trochę zachmurzone złoto.

Shakespeare.

Kwiecień tworzy kwiaty, a maj zbiera za to dzięki.

Niem.

Kłamstwem można przejść świat cały, ale nie można wrócić.

Polsk.

Im dalej bajka leci, tem potężniej kłamie.

Niem.

Dla zasypania prawdy trzeba dużo szufli.

Niem.

Mów to, co jest prawdziwem, mów, co jest przyjemnem; nie mów, co jest prawdziwem, ale nieprzyjemnem, lub co przyjemnem, ale nieprawdziwem; takiem jest wieczne prawo.

Ind.

Wymówki są zawsze pomieszane z kłamstwami.

Arab.

Z prawdą zajść można do Boga.

Żydows.

Żaba zawsze skoczy w błoto, chociażby siedziała na złotym tronie.

Niem.

Kto nie opuszcza swej ojczyzny i nieogląda tysiącznych cudów świata, podobnym jest do żaby studziennej.

Ind.

Bolesnym jest ranek sierot i wieczór tułaczów.

Pers.

Dym ojczysty jest świątlejszym, niż ogień obczyzny.

Łaciń.

(D. c. n.).

stwu i prawu, spisków i buntów, przywłaszczania tytułów, kontrabandy, naruszania spokoju publicznego, pojedynków, fałszywych alarmów, profanacyi grobów, intryg wyborczych, prostytucyi, pogwałcenia dogmatów religijnych, jak bluźnierstwo, wreszcie mnóstwa wykroczeń przeciw przepisom administracyjnym. Nie znaczy to jednak, by one nie były karygodnemi — przeciwnie społeczeństwa karać je muszą na równi z innemi, ale występków naturalnych nie stanowią, sąd o nich zależny jest od czasu, miejsca i kultury, antropologia i socyologia z obrębu swych badań muszą je wyrzucić. Z drugiej strony widzimy w grupach owych czyny, nie karane przez prawodawstwo, jak tamowanie rozwoju fizycznego, ale Garofalo zapomina, że należą one do przestępstw nieuchwytnych, trudnych do wyśledzenia zarówno dla władz sądowych, jak dla psychologa i przeto bez uszczerbku dla samej teoryi mogłyby być przemilczane.

Wogóle uczonemu włochowi nie zależy zgoła na rozszerzeniu lub zwężeniu zasady karalności. Jego dążeniem jest oprzeć pojęcie przestępstwa nie na pogwałceniu prawa, ale uchybieniu uczuciom. Jakkolwiekbądź, podobne określenie ma za sobą więcej słuszności, niż dotychczasowe definicye prawników. Wybitniejsi z nich, jak: Filangiers, Beccaria, Rossi, Romagnozi, Ortolan, Mittermayer widzieli w przestępstwie mniej więcej „czyn zakazany przez prawo.“ Było to obracanie się w błędnem kole—wprzód bowiem należy zbadać, co winno być przedmiotem zakazu, co jest istotnie szkodliwem dla podstaw społeczeństwa i zasługuje na ściganie. Zaniedbując to pytanie, zostawiało się prawu samowolę, ono grało rolę najwyższego sędziego, choć często nie zgadzało się wcale z pojęciami moralności. Potrzeba więc odebrać mu tę cechę przypadkowości i despotyzmu, a w tym celu oprzeć ideę przestępstwa na rzetelnej etyce i socyologii.

Korzyści praktycznych z takiej zmiany Garofalo jeszcze nie wyłuszcza, zapowiadając, iż wkrótce to uczyni. Tymczasem spodziewa się on wykryć, że dwom głównym szeregom przestępstw odpowiadają dwa zasadnicze typy zboczeń duchowych, przyczem w obu znajdą się osobniki całkiem nienormalne, jakoby pozbawione pewnych władz psychicznych, oraz upośledzone częściowo, ze zmysłem moralnym osłabionym, ale możliwym do wyleczenia.

Do jakichkolwiek zastosowań posłuży teorya niniejsza, to pewna, że jest ona pomysłem znakomitym, uderzającym swą jednolitością i szerokiem tłem naukowem. Niewątpliwie z punktu widzenia filozoficznego, do którego jednak rzadko wznoszą się prawnicy, przywykli do dogmatyzmu i ciemnoty, godną by ona była stanowić podmurowanie do wszelkich działań prawodawczych. Słudzy Temidy szukają zewnętrznych oznak przestępstw, klasyfikują je i karzą, rządząc się zasadą oderwaną — zamiast badać poszczególnie szkodliwość zbrodni i tym sposobem zmniejszać zło społeczne.

Niestety jednak, wywody, na których wspierają się ostateczne wnioski Garofala, nie są bynajmniej pewnikami. Wzmiankowane dwa *minima* altruizmu nie jednakowo przekonywają. Można się zgodzić na to, że bezcelowe i bezmyślne okrucieństwo dowodzi niedostatecznego przystosowania jednostki do bytu wspólnego — ale żeby negatywne bodaj poszanowanie cudzych praw było udziałem wszystkich, a brak jego świadczył o skoszlawieniu poczucia moralnego — trudniej uwierzyć. Socyologia nie stoi jeszcze tak wysoko, by mogła z wielką pewnością twierdzić, że wszystkie typy społeczne są jednakowe w swych urządzeniach podstawowych i bez obu *minimów* obejść się nie mogą. Wielu badaczów utrzymuje, że pierwotnie własność była wspólną, na co piszą się nawet tak poważni i spokojni, jak Wundt — a w takim razie chęć przywłaszczenia sobie cudzego mienia oznaczałaby zupełnie naturalny głos dziedziczności. Następnie siła dziedziczności jest bardzo względną. Ilu pokoleń, wieków lub tysiącoleci potrzeba dla utrwalenia w człowieku pewnych instynktów? — na to nikt odpowiedzieć nie zdoła. Gdzież więc rękojmia, że dany organizm społeczny już wytworzył w osobnikach należyte poczucie moralności? Nawet w narodach ucywilizowanych są odłamy, w górach i na kresach żyjące, z moralnością odrębną lub niższą — dowodem kurpie, górale tatrzańscy, sioła kryjące się w porzeczu Wolgi itd. Sam Garofalo przyznaje, że huk działa na polu bitwy cofa nagle człowieka o całą kulturę wstecz — a ileż to warunków mniej gwałtownych wyradza w jednostkach bardzo dodatnich popędliwości, żądzę zemsty i wniwecz obraca wszystkie nabytki dziedziczności! Nie gorszy od Garofala przyrodnik Rolph dowodzi z wielką siłą, że tendencyą naturalną każdej jednostki jest nieograniczone samolubstwo, jakaś nienasyconość fizyologiczna, która dąży do rozrostu we wszystkich kierunkach kosztem otoczenia. Własność to wspólna wszystkim tworom organicznym — a człowiek nie traci jej, ale pod przymusem ogółu *hamuje*. Hamulec jest wciąż niezbędnym, a funkcyę jego wypełnia wychowanie. Jeśli tedy ono jest mniej baczne, zjawia się w indywiduum przesadzone pojęcie o służących mu prawach, a tak zwane „rozpieszczone“ lub „zepsute“ dziecko — to nic innego, jak okaz nieukróconego w swoim czasie egoizmu *). Cóż stąd wypływa? Że życie społeczne nie przygotowywa należycie popędów moralnych, że apetyty zwierzęce po przez dziedziczność wysadzają swe łby z winy edukacyi, a nie chorobliwego usposobienia. Inaczej wypadłoby tak zwaną śmietankę społeczeństwa, arystokracyę, ustawicznie biczować za okrucieństwo bezprzyczynowe. Iluż to paniczyków naszych znęcanie się nad podwładnymi posuwa do manii, a przecie żaden rząd nie odważy się osadzić ich we właściwem miejscu — menażeryi.

Więcej jeszcze dałoby się powiedzieć o występkach natury płciowej. Garofalo nie zalicza ich do znamion niedostatecznego wykształcenia uczuć społecznych. Są jednak między nimi nawet nieskojarzone z gwałtem fizycznym, które powtarzając się często i stale, wyciskają na człowieku tak głęboką pieczęć wynaturzenia, jak żadne inne nadużycia. Istnieją rodzaje zmysłowości i wyrafinowanego a chronicznego lubieżnictwa, które świadczą niezbicie o anomalii i każą obawiać się innych przestępstw. O tych nasz uczony nie wspomina. Ale cześć wstydu tak wysoko stawianą jest przez ogół i od tak dawna praktykowaną, że ciężkie a stałe uchybienia jej same, rzec można, proszą się o miejsce w galeryi przestępstw naturalnych.

Dla tych i wielu jeszcze innych punktów wątpliwych, które biją w oczy i nie wymagają bliższego rozbioru, teoryę Garofala można by zcharakteryzować w ten sposób. Powiada ona: umówmy się, ażeby nieuczynienie zadosyć najrdzenniejszym wymaganiom altruizmu uważać za dowód spaczania psychicznego, za przestępstwo naturalno. Projekt taki ma bardzo dużo za sobą — ale *konieczności* tego postulatu Garofalo z przywiedzionych przez się danych etyki i socyologii nie wywnioskował. Jest to dopiero zarys budowy, tem wadliwszy, że służyć ma za drogowskaz praktyce.

N. Hirszband.

---

*) *Biologische Probleme als Grundlage einer rationellen Ethik.*

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

XV.

Non est magnum ingenium sine alla dementiae mixtura.

Seneca.

Życie myśliciela, to poemat wszechludzki, niezrozumiały dla tłumu, ale pełen głębi, grozy, siły i apostolstwa dla wzroku bystrego. Auerbach osnuł na tle biografii Spinozy powieść, którą czytać można z większem zajęciem i podziwem, niż tysiące oklaskiwanych romansów, chociaż w niej dla Erosa nawet małego nie zostało kącika. Gdyby uczniowie wielkich filozofów chcieli tę prawdę rozumieć, świat zyskałby potężny odłam literatury, coś pośredniego między spekulacyą a uczuciem, lub raczej łączącego je w sposób ponętny niezmiernie. W miarę zbliżania się do czasów nowożytnych, ruchliwych i gorączkowych, twórcy systematów coraz bardziej zatracają cechy wcielonych abstrakcyj, a nabierają znamion prawdziwego życia. Mill już jest bohaterem mnóstwa studyów o kroju bohatersko-estetycznym. Brandes postawił go w szeregu *Duchów współczesnych*, obok Renana, Paludana, Mullera, Flauberta itp. Taine wskazał mu miejsce w piątym tomie swych „Dziejów literatury angielskiej,“ tuż obok najżywotniejszych poetów i działaczów politycznych, obok Byrona, Carlyle'a, Macaulay'a, słowem istot rodu w połowie przynajmniej olimpijskiego.

Dlaczegóżby nie miało posiadać tego uroku życie pisarza, którego imię najpowszechniej może zawładnęło umysłami, najgłębszą pieczęć na wieku wycisnęło, najżarliwszych zaskarbiło sobie chwalców, najjadowitszych kupiło wrogów? August Comte — słyszę już zgrzyt zębów i syk nienawiści — jest nieledwie godłem całej myśli teraźniejszej, bo ona mu zawdzięcza jeśli nie zdobycze swoje, to nastrój, jeśli odrzuciła jego budowę, to przyjęła plany i styl. Broszury w rodzaju Spencerowskiej, odżegnywające się od tego wzoru, w części jeno mają słuszność.

Dalekim od chęci wznawiania nudnych sporów o rolę pozytywizmu w obszarze pomysłów dzisiejszych. Ale niepodobna oprzeć się pokusie zajrzenia *) do jego testamentu, do papierów, którym powierzył wiele najskrytszych uczuć i myśli, w których wyspowiadał się z cierpień, niesnasek domowych, walk i trosk. Jest to jeden nieskończony

..ból po błędnej jak labirynt drodze,

jakby powiedział Goethe, ból, jakiego niezniosłaby natura mniej hartowna, despotyczna, proroczo usposobiona. Wspomnienia, skreślone przez tak oddanych wielbicieli i następców, jak Littre i dr. Robinet, nie wyczerpały całej skarbnicy spraw osobistych i pozostało wiele, które dopiero przed trzema laty wydobyli na jaw przyjaciele, ogłosiwszy testament mistrza wraz z listami. Wyłania się z nich postać męczennika z należytą wypukłością, bo są zebrane i ułożone przez niego samego w porządku nadzwyczajnym, z tą samą logiką niby-matematyczną i symetryą architektoniczną, jakiemi odznacza się cały *System filozofii pozytywnej*. Nawet osobistości tam uwiecznione mają pozór formuł oderwanych.

Zabytki owe dowodzą jednakże, że w tej głowie naszpikowanej planami, goniącej za ścisłością, nie same tylko gnieździły się rupiecie naukowe. Huczały w niej burze i namiętności szalone, ambicya tytaniczna i ona to dawała mu moc i wytrwanie wobec prześladowań uczonych fachowych. Ona to się

---

*) Za J. M. Guardia „Les sentiments intimes d'Auguste Comte d'apres son testament.“ *Revue philosophique* za lipiec.

gając za grób i patrząc w przyszłość, czyniła go obojętnym na upokarzające milczenie akademii i szkół urzędowych. Inaczej uległby może w zapasach z oszczerstwem, a także z nędzą, w którą spiskujący przeciwnicy ciągle go wtrącali. Pod puklerzem dumy niepohamowanej spoglądał ze wzgardą na zazdrosnych.

Najsroższym ciemięzcą był los, a najczynniejszym jego agentem—własna żona. Była mu niewierną i zburzyła spokój domowego ogniska. Zapatrzony w górę, pochłaniany przez projekty nowej jakiejś ewangelii, bolał nad tem wszystkiem, bo go jak robactwo toczyło i odrywało uwagę od ukochanych ideałów. Nawet i po rozłączeniu się z małżonką, po siedemnastu latach pożycia, nie przestawał skarżyć się, jak dziecko.

Była inna, bardziej wewnętrzna przyczyna, dla której brał tak do serca nieszczęście owo. Łaknął on, a przynajmniej łudził się, że łaknął gorącego przywiązania. Niewątpliwie w tej naturze nerwowej, żyjącej przeważnie duchem, a lekceważącej ciało i najniezbędniejsze jego potrzeby — szalał głód miłości, ale Comte go przesadzał. Wyrzekł on gdzieś: „c'est le coeur qui pose la question, mais c'est à la raison, qu'il appartient à la resoudre.“ Widać tu jasno skłonność do pewnego sentymentalizmu, dziwnie sprzeczną ze słabością dla matematyki. Przenieść ją ze sfery prywatnej w dziedzinę teoryi filozoficznej, a objaśni wiele niekonsekwencyj, które niemniej od samego zdrowego ziarna wzięły udział w rozsławianiu niekopomnej jego doktryny.

Tak np. historyozofia Comte'a. Wedle niej ludzkość przechodziła kolejno trzy okresy: teologiczny, metafizyczny i pozytywny. Lecz duch jego własny przebył je w porządku wprost odwrotnym. Gdy zabierał się do odrodzenia świata i nauki, był może istotnie trzeźwym, stopniowo jednak jasność poglądów słabła, wzrastała mglistość, -systemat pogrążał się w jakieś tajemnicze tumany, aż wreszcie zniknął w nich, ku uciesze gawiedzi i proletaryatu umysłowego. Mistycyzm, skazany na zagładę w nauce, jak gdyby mścił się na temperamencie mistrza i osaczał go wytrwale. Stąd mrzonki o nowej religii, kult, kalendarz pozytywny i reszta złożonego aparatu, któremu wynalazca bił korne pokłony, jak prawdziwemu bożyszczu. Naznaczał on sobie i wiernym modły codzienne, wskazywał postawę, jaką przybrać winno ciało, określał porę i czas kontemplacyi, dyktował ustępy, jakie należy powtarzać — słowem najfanatyczniejszy pustelnik nie potrafiłby silniej spętać swej woli więzami dogmatu, jak ten dziwaczny reformator. Ciekawem jest przecież, że w owym brewiarzu pozytywnym nie znajdziesz ani Chrystusa, ani Mahometa — ale za to Cezara, Fryderyka II, Karola Wielkiego, Konstantyna i Teodozyusza, Józefa de Maistre'a i Bonalda. Są wszyscy, którzy wedle odnowiciela świadomie czy bezwiednie popychali człowieczeństwo ku nowej, przez niego głoszonej erze i ci mają swych zastępców i towarzyszów, z którymi pospołu podznaczają dany dzień, lub którymi się wyręczają. Rzekłbyś — zwyczajny kalendarz noworoczny lub... spis artystów teatru, gdzie pewne role „dublują“ się.

Ażeby z Comte'a zrobić całkowitego wizyonera-poetę lub wizyonera-filozofa, trzeba mu dać jakąś kochankę. Postarał się on sam o nią i znalazł w osobie jakiejś Klotyldy de Vaux. To była jego Beatrycza, jego Laura, ale dzieliła serce matematyka-marzyciela z matką jego Rozalią Boyer i zdaje się, służącą, następnie usynowioną — Zofią Blaux. Pierwsza była przedmiotem sztucznej jakiejś miłości, chorobliwej erotyki; wielbiciel pragnąłby jej imię przekazać odległej potomności, na wzór Danta i Petrarki—lecz srodze zawiódł się.

Człowiek, którego tak różne i niezgodne z sobą nurtowały wiry, umiał ściągnąć na siebie uwagę psychiatryi. Okrzyczano go za waryata. Ale bo też takie wiry, ścierając się z sobą ustawicznie, muszą w końcu wybuchnąć kataklizmem. Comte kilka miesięcy spędził w zakładzie obłąkanych, pod pieczą doktora Esquirola. Wyszedł stamtąd z odzyskaną równowagą władz, ale z podkopanym kredytem. Odtąd bowiem zaczęto mu wytykać szaleństwo i większość pomysłów kłaść na jego karb. Na szczęście złośliwa pogłoska nieraz przyczyniała się do ich upowszechnienia. Gdzieniegdzie czciciele obchodzili czujność cenzury kościelnej wiarą w obłęd swego nauczyciela, wypowiedzianą pobożnemi słowy w przedmowie do takich prac, jak Lewesa i Milla — o Comcie.

Jednak pozostało mu rozdrażnienie nerwowe. pod wpływem którego rzucił się, jak wiadomo, w wody Sekwany (17 maja 1816). O niem, jako o rysie znamiennym, warunkującym tryb życia, wspomnieć wypada.

Comte w praktyce nie lekceważył tak psychologii, jak w teoryi. Jeżeli w klasyfikacyi nauk została ona wchłoniętą przez fizyologię — w osobistej jego tułaczce ziemskiej działo się inaczej. Panował on nad ciałem wszechwładnie, trapił je i umartwiał bezlitośnie. Nie chciał zginać karku przed rozkazami hygieny i w tym względzie butę posuwał aż do komizmu chłopa, który chciał szkapę swą odzwyczaić od jedzenia. Praktykował posty—co prawda nieraz z musu—ślubował sobie wstrzemięźliwość od najzwyczajniejszych przysmaków, a nawet pokarmów i napojów, jak: herbata, wino lub kawa. Wpędzał się rozmyślnie w choroby i tak wycieńczył swój organizm, że każdemu ważniejszemu aktowi jego działalności towarzyszyły zazwyczaj niesłychane jakieś wstrząśnienia. Tak więc, wyklinany heretyk w filozofii, w rzeczywistości był wyznawcą przesadzonego spirytualizmu; chciał zbudować nową umiejętność na podwalinach samego przyrodoznawstwa—a w gruncie okazywał się lichym znawcą praw i wymagań ustroju zwierzęcego. Dla lekarza nerwów objaw to zrozumiały. Ujrzy w nim jakieś przepracowanie się, nadmierne pobudzenie umysłu, niezdolne do spoczynku, wybicie się raz na zawsze ze spokoju i równowagi, jak bywa wybicie się ze snu.

Psycholog dostrzeże tam ze swej strony ogrom woli. Comte rządził swą szkołą, jak despota surowy. Wszystkie czynniki składowe absolutyzmu działały w nim jednocześnie; chciałby zostać tem, czem Napoleon I, jeno nie z pomocą oręża, lecz idei, nie w państwie uzbrojonych żołdaków, lecz w jakiejś republice wyższego rzędu, gdzie uznawanoby cenę nabytków oświaty. Marzył o jakiejś dyktaturze pozytywistycznej, o arcykapłaństwie w związku pięćdziesięciu filozofów, w których chciał widzieć wielkorządców Zachodu. Kochał się w postępie, ale nie zważał na drogi do niego prowadzące. Wielbił nadewszystko porządek, tak, iż nie wahał się uznać za fakt radosny zamach stanu 2 grudnia. Wobec tylu i takich zachcianek monarchicznych nie zostało miejsca dla wolności — a jednak uczniowie kochali go. oddani mu duszą i ciałem, i podtrzymywali własnymi środkami pozbawionego wszystkich sposobów zarobkowania we wrogo nastrojonem społeczeństwie.

Guardia porównywa Comte'a z... Ignacym Lojolą! Nie oburzaj się — bo jeśli odrzucić Stowarzyszenie Jezusowe wraz z jego dobrodziejstwami a zatrzymasz się na samym założycielu, zabłyśnie pewne podobieństwo — obaj apostołowie, do szpiku kości misyą swą przejęci, obaj surowi, gwałtem narzucający światu swoje mrzonki. Autor *Ćwiczeń chrześciańskcih* żyje w potomności dłużej, niż się spodziewał, tylko jak widmo złowrogie; odrodziciel socyologii krócej — lecz jak cień szanowny. Żadnemu podziwu odmówić niepodobna, bo za głęboko w prawdę zbawczą swych słów wierzyli. Zachodzi nawet pewna analogia zewnętrzna — Comte modlił się na swoim kalendarzu i ćwiczył ducha nie gorzej od owego prarycerza gwałtu i ciemności. Pod względem mistycyzmu żaden drugiemu nie ustępuje. Francuz z dziewiętnastego stulecia pragnął z filozofii zrobić teologię; odstrychnął się od nadprzyrodzoności, ale koniec końców wziął z nią ślub dozgonny i wszedł w służbę jakiejś nowej postaci katolicyzmu, któremu przyznawał wyższość nad wszelkiemi rozgałęzieniami protestantyzmu. W św. Pawle, którego ubóstwiał, podnosił prawdziwego ojca mądrości katolickiej. Odczytywał pilnie *O naśladowaniu Chrystusa*, *Dzień chrześcianina*, *Boską komedyę*, słowem dzieła, w których się ona najdobitniej wyraziła.

Gotoweś mi zarzucić, żem się wdał w komentarze do systematu a poskąpił danych sensacyjnych z życia. Lecz na cóż babrać się w opłakanych sporach myśliciela z żoną? Dosyć napomknąć, że nie po stoicku, nie jak Sokrates wobec Ksantypy, zachowywał się w nich. Na przykre węzły już po zerwaniu utyskiwał gorzko, nazywał je największym swym błędem.

Mógłbym jeszcze wspomnieć o nerwowym rozstroju żołądka, ale to mniej zajmujące, chociaż daje dużo do myślenia. *Ingenii largitor venter.* Dr Robinet też zastanawiał się poważnie nad dolegliwościami swego mistrza i dowiódł ponownie starego zresztą pewnika, że filozofowie więcej powinniby dbać o swoje kiszki; niewątpliwie mniej byłoby wówczas zboczeń od trzeźwości, mniej przywidzeń. Dotąd w życiorysach wielkich ludzi sprawa trawienia za mało była uwzględnianą. Co do mnie, to z ochotą szczególną piszę się na tę uwagę Guardii...

Po za słabostkami, zrodzonemi przez zawody prywatne, Comte miał i inne. Długo pamiętał urazy — był mściwy, tak iż w ostatniej swej woli żądał, ażeby do orszaku pogrzebowego nie dopuszczono nikogo z przyjaciół i krewnych żony, ani też z przedstawicieli Szkoły politechnicznej, którą nienawidził, płacąc pięknem za nadobne. Zresztą w pracy i stosunkach publicznych zalecał się stałością, energią niesłychaną. O pomocy wszelkiej i przysługach zachowywał pamięć trwałą. Korespondencya z ówczesnemi znakomitościami świadczy, iż kto go rozumiał, tego cenił wysoko i poważał wielce.

Zwięźle, lecz, zdaje mi się, trafnie bardzo charakteryzuje tego męża genialnego a osobliwego Guardia. Najlepiej uczynię, kończąc jego wyrazami:

„Ostatecznie był to latyńczyk z ducha i rasy, natchniony ideą porządku i władzy, pełen szacunku dla hierarchii; z temperamentem kapłana, teokrata bezbożny, katolik z wychowania i tradycyi, wielbiciel katolicyzmu, jedności, prawowierności; wróg herezyi, odszczepieństwa, reformacyi i rewolucyi; roił sobie świat rządzony przez proletaryat, z jedyną wiarą, religią pozytywną i jedynym wspólnym językiem — włoskim.“

Robon Dion.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Wiedeń, 6 sierpnia

Wyludnienie Wiednia. — Stowarzyszenie dla wabienia przyjezdnych. — Opera i oświetlenie elektryczne. — Teatry. — Zalewski a loterya. — Dr. Roser. — Hermannskogel. — Cudowne źródło. — Przyczynek do psychologii ludu. — Minister skarbu. — Przednówek na polu literackiem. — Sienkiewicz wobec czytelników niemieckich.

W porze kiedy słońce najgorętsze rzuca promienie na granitowy i asfaltowy bruk stolicy naddunajskiej, jak gdyby się chciało zemścić za gorzkie wyrzuty, które mu w maju i czerwcu robiono, trudno rozpra-

wiać o życiu społecznem, naukowem i artystycznem. Wszystko, co nosi nazwę społeczeństwa, plutokracya nadająca ton w salonie, arystokracya zaludniająca kluby i ożywiająca plac gonitw, uczeni, co albo z katedry szerzą światło, lub też w zaciszu domowem pracują, artyści i artystki, wszyscy porzucili miasto, szukając bądź na łonie natury w zieleni gór Alpejskich, bądź nad morzem wytchnienia i nowych sił. Lubo stowarzyszenie, mające za zadanie podnieść ruch przybywających do Wiednia osób, robiło wszelkie możliwe wysiłki, by choć jedną dyrekcyę teatru nakłonić do dawania przedstawień wśród pory ogórkowej, starania te okazały się daremnemi, a podwoje świątyń sztuki zostały zamknięte. Wprawdzie dyrekcya opery nadwornej, gdzie marmurowe ściany nawet utrzymują ożywczy chłód, nosiła się z zamiarem nieprzerywania przedstawień w czasie najgorętszych miesięcy, porzuciła go jednak, aby nie pozostać w tyle za teatrami innych miast i ażeby zamiast nietylko nieprzyjemnego, ale i niebezpiecznego oświetlenia gazowego wprowadzić elektryczne. Bo gdy się zważy, że takie miasteczka, jak Halla i Guggingen posiadają już sceny elektrycznie oświetlone, to rumieńcem wstydu i upokorzenia zapłonie oblicze każdego wiedeńczyka, że w stolicy cesarstwa teatry nadworne dopiero teraz myślą o usunięciu gazu. Oświetlenie elektryczne ma też otrzymać drugi teatr nadworny, zbudowany wedle znakomitych planów Sempera, pod mistrzowskiem kierownictwem Hasenauera, który nareszcie z d. 1 stycznia 1888 r. zostanie otwarty. Jednocześnie zamkną się podwoje starego, małego i niepokaźnego Burgteatru, który może na swą chlubę przytoczyć, że w ciągu przeszło stu lat — tak długo bowiem istnieje — więcej wywołał potu, niż wszystkie sceny wiedeńskie razem. I dziwna zaiste rzecz! Kiedy najnowsze, najpiękniejsze teatry wiedeńskie obróciły się w perzynę, ów mały labirynt pozostał całkowicie nietknięty, zadając kłam obliczeniom statystyków, wedle których każdy teatr ma tylko osiągnąć wiek przeciętny człowieka. Goście przybywający do Wiednia, przeglądając spis ogłoszeń o osobliwościach, salach koncertowych, „tingl-tanglach,“ występach śpiewaków ludowych itd. — znajdą jeden teatrzyk, co posiada godną zazdrości odwagę stawić czoło upałom i plakatami głosi światu, że jest jedynym w chwili obecnej. Nazywa się „Fürst-Theater“ w Praterze po swym dawnym kierowniku, który znany był ze swej lojalności i uwielbienia dla cesarza Józefa II i „Ojca Radetzkiego.“ Tam usłyszysz czysty dyalekt wiedeński i zobaczysz typy wiedeńskie w oświetleniu mniej lub więcej udatnej farsy, działającej środkami rozczulenia lub tłustego humoru, wystarczającej jednak do zabicia paru godzin czasu. Ponieważ cudzoziemcy po największej części w tych miesiącach tu przyjeżdżają, aby po kilku dniach wyruszyć do Alp, bardzo często fałszywy o Wiedniu wydają sąd, przeciw któremu nie posiadamy innej broni nad słowa: „przybądźcie w zimie, a wówczas wszystko inaczej wam się przedstawi.“

Niezadługo położony będzie kamień węgielny pod nowy teatr ludowy, na który hojni obywatele wiedeńscy w przeciągu dwóch miesięcy zsypali pół miliona guldenów, a dla którego cesarz pozwoli odsprzedać z parku Weghubera (należącego do funduszu rozszerzenia miasta) 1700 m. kw. za nader umiarkowaną cenę 20,000 złr. Jest to jeden więcej dowód, jak dalece monarcha ceni prawdziwą sztukę. Zezwolił bowiem na budowę „Volksteatru“ jedynie pod warunkiem, że nowy przybytek zaniecha wszelkich „tingl-tanglów“ i innych tym podobnych widowisk, a będzie przedstawiał utwory ludowe i komedye. Operetka, co się tak rozwielmożniła po wszystkich teatrach wiedeńskich, nie znajduje tu wstępu. Spodziewanem jest wskutek tego rozporządzenie cesarskie, że krajowi autorowie pogarną się do tej sceny ze swemi pracami, jak np. Anzengruber, który porzucił pole dramatyczne, a oddał się powieściom i nowelom, przynoszącym dość znaczny dochód, podczas gdy utwory dramatyczne musiały miesiącami czekać wystawienia, ustępując miejsca 150 razy okazywanym, niesmacznym i beztreściwym operetkom. Polecił nadto cesarz, aby w nowym teatrze było pomieszczenie dla 2000 osób i ceny wejścia bardzo niskie, ażeby więc w ten sposób ludziom najmniej zasobnym dać możność uczęszczania.

Dzienniki, które były w kłopocie, czem mają zapełniać kolumny, skwapliwie pochwyciły złodzieja Zalewskiego, który im dostarczył obfitego materyału. Bohater ten, który poczcie austryackiej ukradł 200,000 złr., stanowi główny przedmiot rozmów towarzyskich, tak w domu, jak i po letnich mieszkaniach. Z gorączkową niecierpliwością wyczekują jego przyjazdu i procesu sądowego, który ujawni niejedną ciekawą stronę tego dramatu z odsłonami i przemianami. Lata jego wieku stały się najbardziej pożądanym numerem loteryjnym, a kiedy przybyła wiadomość, że rzezimieszek został schwytany w przystani Nowego-Yorku na okręcie francuskim, ścisk u kolektorów loteryjnych był nie do opisania. Jakiś dowcipniś powiedział, że Zalewski przez loteryę więcej zysku przysporzył skarbowi państwa, niż wynosiła skradziona suma. Dowcip to wymowny, a nie bardzo pochlebny dla państwa, które opodatkowywa głupotę i przesąd pospólstwa z powodu, że minister skarbu nie może sobie dać rady z deficytem.

Proces karny sprowadzi do sali sądowej więcej widzów, niż najlepsza sztuka dramatyczna. Osobliwie płeć piękna gromadnie się tam zgarnie, bo zawsze łaknie takich widowisk. Szczęście, że ława oskarżonych nie rekrutuje się z pośród kobiet, bobyśmy dożyli tego, iż największe zbrodniarze wychodziliby cało, a to tylko dlatego, że „tak są interesującymi.“ Skoro mówimy o loteryi a mamy lato, kiedy przechadzka do bliziutko Kahlenbergu położonego *Hermanskogel* tak piękną jest i miłą, to musimy donieść, że w połowie wysokości tej góry znajduje się źródło, dostarczające nietylko świeżej wody, ale pokazujące nadto *dobre numery*. Owe źródło, *Brünnl* zwane, posłużyć może w dniach niedzielnych i świątecznych — kiedy *misera plebs* rzuca rzemiosło i przemysł, a spieszy na łono przyrody, aby zapomnieć o całotygodniowej nędzy — za interesujący przyczynek do psychologii ludu. Tam około cudownej krynicy siedzą owi pasierbowie fortuny z wzrokiem utkwionym w świętą wodę, pełni złudnej nadziei wypatrzenia jednego, dwóch lub trzech numerów loteryi, na któreby z sąsiadem lub sąsiadką postawili, aby przez szczęśliwy traf wygrać i wydobyć się z niedostatku i nędzy. Tryskająca woda wyrzuca zwiędłe liście, gałązki i maluchne odłamki ziemi lub kamyki, a rozognona fantazya biedaków zestawia z tego *szczęśliwe numery*, które naturalnie każdy tylko dla siebie widzi. Naiwni ofiarują ostatni grosz, aby na święte numera z Brunel postawić *solo*, *ambo*, albo nawet *terno* i pozbawiają siebie i rodzinę pożywienia. Ci, którym los przypadkiem dopisze, gorzej jeszcze wychodzą na tem, niż ci, którym łaski odmówi. Stają się bowiem zapalonymi graczami i giną. Wedle obliczeń statystycznych posła Rosera, który co roku w wymowny sposób domaga się zniesienia loteryi, a którego wniosek rozbija się o *non possumus* ministra skarbu, setki biedaków— bo ci są najlepszymi błaznami nadziei— dobijają się kija żebraczego! Prusy mają także loteryę klasową, ale wysoką stawką obciążają tylko zamożniejsze warstwy społeczeństwa i przytłumiają namiętność grania dłuższemi przerwami w ciągnieniu. U nas wystarczy 7 centów na kupno kwitka, a śmieszny frazes: „przez to przegrany nie zubożeje“ — powoduje lekkomyślne trwonienie, wzbogacając natomiast skarb państwa o kilka milionów, ale zabijając zmysł oszczędności u ludu.

Jałowa pora na razie nie daje nam nowin w literaturze. Nie możemy jednak pominąć milczeniem miłego wrażenia, jakie powieść historyczna H. Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*, którą drukuje tutejsza *Wiener Allg. Ztng*, sprawia na wiedeńskich czytelnikach. Podziwiają mistrzowską charakterystykę i plastyczne obrazowanie autora, lubują się jakby z kruszcu ulanymi figurami, chociaż nie tają, że dzieło to dla nadzwyczajnej obfitości i tłoku postaci traci na jedności i że kompozycya o wiele lepiejby była wypadła, gdyby poeta miał był na uwadze radę Goethego: „w ograniczaniu objawia się dopiero mistrz.“ Życzyćby należało, żeby tutejsze dzienniki, zamiast zapożyczać szumowin literackich z tuzinkowych romansopisarzów francuskich i angielskich, częściej przekładali lepsze utwory polskie, bo by w takim razie smak się mniej psuł a czytelnik przychodził do poznania, że i na wschodzie znachodzą się potężne duchy, co stwarzają wielkie dzieła, o czem jednakże na zachodzie bardzo chętnie umyślnie lub nieumyślnie zapominają. O śmierci nieodżałowanego wielkiej wartości i nadziei badacza — Hanusza już wiecie.

J. M.

Literatura czeska.

Zeyer Julian: *Libuszin hněw*, komedya w 3 aktach. Praga, 1887.

Jeden z pierwszorzędnych poetów czeskich, Julian Zeyer, chcąc przedstawić ideał miłości, przenosi nas w czasy dziejów pierwotnych, w czasy bohaterów, będących upostaciowaniem walki człowieka z siłami uśpionej w swej potędze przyrody.

W podaniu o bajecznym Kroku, ojcu nadobnych cór: Tety, Kaszy i Lubuszy, poeta uchwycił wątek do eposu dramatycznego. Zawiązkiem utworu jest miłość, która w opowiadaniu Niwy, żony Kroka, staje się dębem wpośród morza bez brzegów, istniejącego w czasach, kiedy to jeszcze ani niebios, ani ziemi nie było; na wierzchołku owego dębu siedziały dwa gołębie białe: te spuściwszy się na dno niezgłębionych wód, wydobyły dwa kamienie, którymi niebiosa z ziemią spoiły. Nadobna córa Krokowa, Libusza, przysłuchując się tym opowieściom matki, uczuwa w sobie żądzę czynów, aby jako feniks z popiołów odradzać się w pieśniach ludu. Siostry jej Kasza i Tetka oddały serce bohaterom: Biwojowi i Trutowi, pogromcom smoka. Pierwszy z nich, Biwoj, przebywając nad Izerą w chwili, gdy nieprzebyte nogą ludzką puszcze okoliczne krwawym płonęły pożarem, ujrzał, jak bogini jedna, wynurzywszy z powłok mglistych kształty, jaśniejące purpurą róży, chcąc zapalić serce bohatera płomieniem żaru, zatrzymała się przed lasami i balsamicznem tchnieniem ugasiła krwawe języki, co pożerały upadające z trzaskiem stuletnich dębów, buków i jodeł konary. Zapatrzony w zjawisko Biwoj, nie zapomniał jednak o przysiędze danej córze Krokowej i mężnie chronił się od niebiańskich powabów bogini; ta widząc, że nie zdoła więzami zmysłowości opętać dorodnego młodziana, jako mgła ulotniła się w przestwory błękitnego firmamentu.

Dowiedziawszy się o tem widzeniu Zwratka, która, będąc żoną Lapaka, nakłaniała męża, aby wymógł na Kroku śluby, że w razie śmierci jego tron czechów posiędzie, postanowiła odwrócić serce Krokowej Kaszy od Biwoja, który osypany niesłusznemi wymówkami od swej bogdanki, żałuje, że wzgardził powabami bogini. Podobnego losu doznaje Trut, marzący o pozy-

skaniu względów Libuszy, dziewicy wieszczej, kochającej się w społeczeństwie, a szczęście plemienia widzącej w pracy, która też rękę nie bohaterowi, lecz oraczowi w lipowych chodakach, Przemyślowi oddaje. Wzgardzony Trut łączy się z Tetką, którą niegdyś dla Libuszy na uboczu zostawił. W ostatniej scenie zjawia się Lapak i przypomina Krokowi obietnicę, uczynioną niegdyś w chwili, kiedy małżonka książęcia Niwa, czując w łonie swojem Libuszę, pod wpływem jakiegoś obłędu udała się w góry, a gdy przeminął dzień jeden i drugi, a nie było wieści o zabłąkanej niewieście, przybywa Lapak i oznajmia strapionemu Krokowi, że gdy otrzyma po nim następstwo, wkrótce mu żonę przywiedzie. Krok ujrzawszy w objęciach ukochaną Niwę, wynadgradza Lapaka uroczystymi śluby, iż żądaniu jego zadosyć uczyni. Owóż przypomnienie to Lapakowe napełnia trwogą rodzinę Kroka i lud zgromadzony, który obietnicę swojego władcy za nieważną uznaje. Krok z Niwą ustępuje z miejsca na kamieniu, gdzie według zwyczaju czeskiego książąt obranych sadzano. Zwratka, ciągnąc swojego męża Lapaka, nakłania go, aby godnością książęcą nie wzgardził i zasiadłszy na kamieniu, nowe objął rządy, nakładając jarzmo na karki poddanych. Byłaby chytra białogłowa zamiar swój do skutku przywiodła, lecz Libusza przepowiednią, że kto gwałtem władzę sobie przywłaszczy, ten zasiadłszy na kamieniu, w martwy posąg z głazu się zamienia, przestraszonych małżonków odwodzi od zgubnej dla nich żądzy panowania, zapewniając tem rodzicom aż do śmierci stare czechów berło.

Oto treść dramatu, nader od podań kronikarskich odmienna. Poeta w dowolnem przeistoczeniu dziejów bajecznych przeprowadza rozmaite kategorye miłości, której kapłanką czyni niewiastę, świadomą praw swoich i obowiązków względem społeczeństwa, gdzie praca zbiorowa powinna być udziałem obojej płci. Sentencya wysnuwa się w orzeczeniu, że kobieta nietylko powinna być matką i małżonką, ale i obywatelką.

Justyn Feliks Gajsler.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Gdzie należy przesyłać spostrzeżenia nad zaćmieniem słońca. — Reklama na tarczy księżyca. — Szkoda *Kraju* i potrzeba wynagrodzenia jej. — Chciwość *Wszechświatu*. — Towarzystwo pomocy naukowej Marcinkowskiego pod kosą.— *Christlich und sitlich*.— W wieńcu zwycięzkim. — Uczczony landrat. — Ostatnia apelacya i usprawiedliwiona nieuwaga. — Grabież zakładu Ossolińskich. — Spółka owocowa. — Jej prawidłowe dzieje. — Żółć i łzy. — Rozpaczliwy termin i wymowny protokół.

W chwili, kiedy czytać będziecie obecny numer *Prawdy*, zaćmienie słońca już się odbyło. Ponieważ jednak w sobotę nie możemy jeszcze opowiedzieć wam wrażeń piątkowych, więc dziś zajmę się tylko pewną formalną stroną tego zjawiska. Mianowicie do obserwowania go na niebie i ziemi wezwani zostali przez astronomów i przyrodników wszyscy ludzie inteligentni, którzy mają swe spostrzeżenia przesyłać: albo Petersburskiemu Towarzystwu fizycznemu, albo warszawskiemu *Wszechświatowi*, albo redakcyi... *Kraju*. Czemu o to nie upomnieli się również pp. Twardzicki, Mieczkowski, Brandel, Pik, słowem fotografowie i optycy, którzy przecież więcej mają do czynienia ze słońcem, niż *Kraj* — trudno pojąć. Ażeby usunąć tę niesprawiedliwość, a raczej zbytnią skromność, trzeba im przynajmniej część sprawozdań zaofiarować. Jakaś kruszyna należałaby się także *Zorzy* i *Gazecie świątecznej* (chłopi pracują przeważnie na słońcu), wreszcie stacyi filtrów, fabryce proszku otwockiego — wogóle wszelkim zakładom, posiadającym równe z organem poważnego mydlkowania prawo do przewodnictwa w astronomii. Nie żądam, ażeby organ ten pominięto, gdyż on powinien być wynagrodzony za ciężką krzywdę, jaką mu wyrządził księżyc, nie pozwoliwszy na swej ciemnej tarczy wyciąć i podczas zaćmienia jak szyld latarnią oświetlić słońcem wyrazu: *Kraj* (przydałyby się i warunki prenumeraty). Było to chyba w całej przestrzeni Królestwa i Cesarstwa jedyne miejsce powszechnie widzialne, na którem *Kraj* nie wywiesił swojej reklamy. Wynagradzając sobie tę szkodę, ogłosił, że przyjmować będzie spostrzeżenia nad zaćmieniem słońca, które, naturalnie, odstąpi Towarzystwu fizycznemu w Petersburgu, bo sam przecie z nich żadnego użytku nie zrobi.

Niejeden z czytelników gotów pomyśleć, że daleko prostszą będzie drogą przesłanie notatek bezpośrednio do Towsrzystwa i oszczędzenie trudu *Krajowi*; ale taki niefortunny pomysł świadczyłby o zupełnem niezrozumieniu logiki i zamiarów Barnuma prasy polskiej, który już i tak niezmiernie cierpi nad tem, że koła lokomotywy kolejowej obracają się w biegu zbyt prędko, a na stacyach stoją zbyt krótko, że więc on na nich nie może umieścić swych ogłoszeń. A cóż *Wszechświat*, jedyne u nas pismo, poświęcone naukom przyrodniczym, któremu z natury rzeczy powinnaby przypaść rola ogniska w zbieraniu spostrzeżeń? Drobinę ich dać mu trzeba, a tyle przez cały rok zajmuje się przyrodą, że jeden jej „incident" ustąpić może na rzecz *Kraju*. Ktoby zechciał pominąć blagę, trzygroszniak wtrącony tam, gdzie niema żadnej wartości, reklamę przyczepioną do sprawy naukowej, ten ma prawo zwrócić się ze swojemi zapiskami do *Wszechświatu* i nie korzystać z usług *Kraju*, ale wtedy dowiedzie, że jest prostakiem niezdolnym pojąć wyższych pomysłów Barnuma. A chociaż *Wszechświat* zamieszkuje inną ulicę a *Prawda* inną, nie podejmujemy się pośrednictwa w przesyłaniu mu spostrzeżeń, gdyż główny ich potok pragnęlibyśmy skierować do *Kraju*. Zobaczycie, że on nas najlepiej poinformuje o „incidencie" z d. 19 sierpnia i objaśni, co to są protuberancye słońca.

Rząd pruski przygotowywa dla niedoduszonej w obrębie jego władzy narodowości polskiej nowe zaćmienie. Jak wiadomo, porozwiązywał on wszelkie, nawet najniewinniejsze jej stowarzyszenia, na które bodaj zdaleka padał pozór charakteru politycznego. Istnieje w Poznaniu (od r. 1840) Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego, instytucya wyłącznie dobroczynna, najprawniej upaństwowiona. Ponieważ żadnym haczykiem nie można było jej zaczepić, początkowo więc kosa zagłady nieszczęśliwego żywiołu oszczędzała ją. Wreszcie z torby krzyżackiego sumienia wyrzucono ostatni skrupuł i postanowiono na biedny przytulek jałmużniczy cisnąć czarną świecę. *Post* uroczyście zapowiada: „Panu ministrowi oświaty podczas jego podróży doniesiono (!), a nadto sam rząd zebrał dowody, świadczące przeciwko polskiemu Towarzystwu Marcinkowskiego, które wspierało tysiące kształcącej się młodzieży w celach (co za piekielna intryga!) użycia jej do propagandy w Poznańskiem, Prusach Zachodnich i na Szlązku. Z tego powodu rozwiązanie Towarzystwa okazało się *niezbędnem*." A zatem: jeżeli poczciwy człowiek zapisał swoje mienie na zasiłki dla ubogiej młodzieży, jeżeli wykonawcy jego woli dadzą biednemu studentowi polakowi w Berlinie lub Królewcu 300 marek rocznie, to jest niemoralne, niechrześciańskie (gazeta *Post* i jej rozkazodawcy są zawsze *christlich*!), tak groźne dla Prus, strzeżonych przez $1\frac{1}{2}$ miliona bagnetów, że kryjówkę niebezpiecznej propagandy trzeba doszczętnie zburzyć, a lisów z niej wykurzyć. Bo to dziwnie chytre stworzenia! Ponieważ rząd — objaśnia *Post* — systematycznie przenosi nauczycieli-polaków do prowincyj niemieckich, więc Towarzystwo wspiera przedewszystkiem studentów medycyny, którzy potem, jako lekarze, będą mogli praktykować — przepraszam — propagować między swoimi. Złapani szkodnicy! Już teraz ich emisaryusze nie zaszczepią ducha polskiego pod postacią krowianki, ani nie wleją pod postacią mikstury. *Heil dir im Siegeskranze* — zwycięzki landracie!

Nie sądźcie, ażeby tę pieśń śpiewali sami tylko niemcy. Według *Dziennika poznań.*, ogłoszono odezwę do obywateli powiatu gnieźnieńskiego, upraszającą o składki na upominek dla landrata, który obchodzi 25 rok swego urzędowania. Odezwę tę, obok niemców, podpisało także trzech polaków: Żółtowski, Wierzbicki i ks. Walkoniak. *Dziennikowi* nie podoba się ta czułość. O, darujcie mi, ale jeśli tyle zebrało się jej w sercach za szczodrotę komisyi kolonizacyjnej, to przecie jakiś upust znaleźć powinna. A czy może być właściwszy, nad wdzięczny hołd złożony u stóp landrata pruskiego?

Muszę jednak zapisać fakt, że pomimo usprawiedliwień *Dziennika*, nieco umiarkowano chwytanie powodów do wdzięczności, a raczej do „przymusowej dobrowolności" w sprzedaży majątków. Mianowicie zaczęto „w zgodzie z własnym interesem salwować także interes publiczny," zbywając ziemię drobnemi działkami w ręce ludu polskiego. „Rozparcelowano w tych dniach wieś Woldowo p. Piottucha z Topolna, a nabywców i dzierżawców z najbliższej okolicy zgłosiła się *aż nad to* wystarczająca liczba i to ludzi, *czyniących zadość* odpowiednim warunkom ekonomicznym." Więc nareszcie, po sromotnych umizgach i handlach z niemiecką komisyą kolonizacyjną przypomniano sobie „lud polski," który ją może zastąpić, kupić ziemię od panów, dopomódz im do „ocalenia resztek" i do „salwowania interesu publicznego." Nic dziwnego: o tym „ludzie polskim" nie pamiętaliśmy nigdy, więc i teraz trudno było tak odrazu go dostrzedz. Usprawiedliwiona nieuwaga...

Towarzystwo im. Marcinkowskiego w Poznaniu zburzą niemcy, a Zakład im. Ossolińskich we Lwowie — polacy. Jego bowiem kurator ekonomiczny p. Broniewski pod czujnym okiem wydziału krajowego wytworzył w majątkach tej instytucyi „najopłakańszy obraz zaniedbania, nędzy i łupieztwa." Zniszczono las, budynki, inwentarz — słowem zrobiono tak, jak u nas zwykle się robi z dobrami przeznaczonemi na korzyść publiczną i powierzonemi zacnym i czcigodnym administratorom. Do tych dwu faktów potrzeba jeszcze tylko trzeciego, ażeby członkowie Kasy Mianowskiego w Warszawie przestali płacić składki — wtedy z „pomocą naukową" będziemy na czysto.

Los smaga — to prawda, ale my mu sami także rózgi podajemy. Podjęto w Warszawie myśl zawiązania spółki owocowej. Po bujnych fantazyach na temat kapitału zakładowego, sprowadzono go wreszcie do rs. 5,000. Na sumę tę — naturalnie — zapisano się skwapliwie, bo słowianin nadwiślański zapisywać się lubi. Ale skoro (15 marca) przyszedł termin złożenia pieniędzy, wniesiono tylko połowę, co jest u nas faktem niebywałym, gdyż według normalnego biegu rzeczy powinien był wpłynąć jeden i to uszkodzony rubel. Ale zaraz w dalszym ciągu okazaliśmy, że nie myślimy przeniewierzać się tradycyi. Zabiegami, namowami, podaniem do nóg i przykładaniem obywatelskich pistoletów do piersi wydobyto ów kapitał i wybrano organizatorów spółki, którzy ułożyli akt i do podpisania go zwołali uczestników w d. 10 sierpnia. Niestety, na tej drugiej skale podwodnej, której u nas jeszcze żaden statek działalności zbiorowej bez szkody nie ominął, łódź ogrodnicza się rozbiła. Nadwiśla-

nin czystej krwi, jeżeli nawet dał pieniądze, które dać przyrzekł, jak żyje nie stawił się u rejenta w pierwszym terminie dla podpisania umowy. To przechodzi nasze siły, zwłaszcza gdy dopełnienie takiej ofiary przypada albo w piękną pogodę, albo podczas pobytu słynnej artystki, albo przed rozpoczęciem polowania, albo itd. Rzeczywiście, pomimo ogłoszeń, w owym pamiętnym dniu, oprócz rejenta, redaktora *Ogrodnika polskiego*, adwokata Anca i sprawozdawców dziennikarskich, nikt na zebranie nie przyszedł. Daremnie obecni czekali, płakali, złorzeczyli, daremnie wybiegali niespokojnym wzrokiem ku drzwiom — nie wszedł przez nie ani jeden uczestnik, chociażby niezawodnie, jako mąż wyjątkowy, był odrysowany w *Tygodniku ilustrowanym* i polecony względom potomności. Nie pozostawało nic innego, tylko piórem, umaczanem w łzach i żółci, spisać protokół nieobecności przyszłych filarów spółki i wyznaczyć im nowy rozpaczliwy termin 1 października. Czy i wtedy przybędą, jeśli zarząd nie usłucha rady *Kuryera świątecznego* i nie przyrzeknie „obiadku“ — wątpić można. W każdym razie ciekawym dokumentem naszego życia społecznego jest ów protokół naszej dojrzałości ekonomicznej i obywatelskiej, spisany w epoce, kiedy najgłośniej dowodziliśmy, że tylko mocą stowarzyszeń dźwignąć się możemy i że los odmawia nam tego ratunku.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pośrednictwo. — Jego postacie u nas: „hadwokaci“ i „łapacze.“ — System tępienia ich. — Objawy systemu. — Polska filoxera. — Nie ubliżać szakalom oraz dzikom! — Nasz adamityzm. — Uprzejmość fabrykantów tomaszowskich. — Pobożna dusza.

Nie ulega wątpliwości, iż z pomiędzy wad obecnej budowy świata, przechodzących wytrzymałość skóry wołowej, gdyby je na niej chciano wypisać, najuciążliwszą jest — *pośrednictwo*. Ludzie, obarczeni jego brzemieniem, zaledwie się zdobyć mogą na kilka niedość silnych wyrazów zgorszenia. Co do mnie, stawiam je na równi ze szpiegostwem i śmiem za wieszczem powtórzyć: „nie mam na was hańby słowa...“ Jednakże gniew mój słabnie na myśl, że niedorzeczność opłacania się „trzeciej osobie“ zapuszcza korzenie w żyzną glebę niedojrzałości. Gdy tej nie stanie, wybije ostatnia godzina „pośrednika“ i zwiędnie cały splot innych pomniejszych grzybków, zespolonych z nim. Zanim jednak dojrzałość ludzka dosięgnie należytych rozmiarów, aż do ogarnięcia niestosowności istnienia łańcucha, złożonego z drobnych ogniw pasorzytnictwa społecznego i uzbroi męzkim gniewem rękę na potarganie go, zwracam uradowany wzrok na *Gazetę lubelską*, która od pewnego czasu nie odrywa swego szkła od polipa, smakującego przeważnie w krwi chłopskiej. Jest nim pokątne doradztwo. W świetle badań *Gazaty* ukazuje on dwa ramiona: jedno podobne w szynku (miewa tam stałe biuro) i jest znane pod nazwą *hadwokatów*, drugie woli powietrze ulic i nosi nazwę *łapaczów*. Jedno i drugie posiada szczególny pociąg do szyj chłopskich. Łapacz ma dużo sprytu, oko bystre i ucho czujne. Umie być wszędzie obecnym, gdzie tylko ujrzy sukmanę. Dość mu ujrzeć stroskaną twarz kmiecia, błąkającego się po mieście, żeby już wiedział, iż temu chodzi o dostęp do bram sprawiedliwości. W okamgnieniu biedak ma doradcę z pod ciemnej gwiazdy. Niedawno (według *Gaz. lubels.*) za gromadką włościan, rozmawiających głośno o jakiejś sprawie przegranej w pierwszej instancyi, lisim krokiem dybał „łapacz,“ wsłuchując się uważnie. Zmiarkowawszy o co idzie, z miną nadętą zbliżył się do nich i spytał, coby robili w mieście?

— A to my, proszę wielmożnego pana, do sądu wedle naszej sprawy — odpowiadają.

— Skąd jesteście i jaka sprawa?

— My ze wsi N., a sprawa pomiędzy nami i trzema naszymi sąsiadami.

— Z N.? To zapewne wam idzie o... (tu na zasadzie kombinacyj, skleconych z podsłuchanych dorywczo szczegółów, następuje wyłuszczenie sprawy). To, moi kochani, sprawa do wygrania — ciągnie dalej bezczelnie — bo artykuł ten mówi tak, a ów— inaczej, trzeba tylko postarać się o takiego adwokata, któryby wam dał dobry artykuł. Skargę apelacyjną ja sam napiszę.

— Musi to trochę inaczej jest, jak wielmożny pan opowiadają — ośmiela się rozsądniejszy chłop zrobić uwagę, spostrzegłszy w gawędzie doradcy pewną sprzeczność.

— Głupiś! Widzisz ten mur? — pyta łapacz.

— Juści widzę — odpowiada zbity z tropu kmieć.

— To czytajże na nim!

— Kiej tu nic nie stoi napisane, a choćby i stojało, to ja czytać nie umiem.

— Widzisz więc, żeś głupi. Jak nie potrafisz czytać na murze, tak też nie będąc obeznany ze sztukami prawnemi, nie potrafisz sobie radzić. Kiedy sam nic nie umiesz, boś ciemny, to musisz się radzić innych, którzy na tem się znają. Ja ci mówię, że waszą sprawę znam i basta! Zaprowadzę was do dobrego adwokata, wynagrodzicie jego i mnie, sprawę wygracie, on wam da dobry artykuł, a teraz coś zafundujcie...

Widocznie przekonał chłopów, bo cała kompanijka udała się do szynku. Co dalej łapacz zrobił, dowiedzieć się nie mógł reporter *Gaz. lubelskiej*. Wynagradza to sobie innym razem. Pewna osada włościańska, z powodu zawyrokowanej przez sąd okręgowy sumy, podlegała subhaście. Uwolnić ją od tego mogła niewielka pożyczka na zaspokojenie wierzyciela. W wyjednaniu jej miał pośredniczyć obrońca przysięgły, pełnomocnik dłużnika. Szło tylko o wynalezienie pożyczkodawcy. Zaledwie chłop opuścił kancelaryę obrońcy, zaczepia go jakiś osobnik i wyciąga na słowo:

— Co będziesz czekał na pieniądze, kiedy ja ci natychmiast pożyczę i na dogodniejszych niżeli tamten, o którym mówił adwokat, warunkach. Wiele masz przy sobie pieniędzy?

— Bedzie musi ze 38 rubli.

— No, to dasz mi z góry procentu 30 rubli i 8 zapłacisz za spisanie zaraz obligu.

Chłop się zgadza i pieniądze oddaje mniemanemu dobroczyńcy. *Hadwokat* idzie do drugiej izby (rzecz się dzieje w szynku) po pióro i papier, żeby „dać nura.“ Osadę sprzedano, a włościanin dotąd go poszukuje.

Łapacze są niewyczerpani w środkach łudzicielskich. Dla skuteczniejszego wyzyskiwania łatwowierności najczęściej przybierają na siebie role prezesów, prokuratorów, sekretarzów sądu itp. Przewrotność ich stała się przysłowiową. Na ich koszt krążą anegdoty, zwykle z jądrem prawdy (np. rzucanie w obecności chłopa niepiśmiennego do skrzynki pocztowej próśb suto oklejonych markami, adresowanych do rąk; samego doradcy). Potęga łapaczów i hadwokatów jest tak wielka, iż z nią obrońca przysięgły liczyć się musi w t. z. „praktyce włościańskiej.“ Zanim bowiem poczesne za poradę prawną dojdzie od chłopa-klienta do niego, musi po drodze przez siecie łapackie uszczuplić się o wysokość (często $^3/_4$!) łapowego.

Tak tedy ma nasza prowincya pośrednictwo podniesione do kwadratu! A kmieć posiada tak bezecnie wytrzymałe plecy, iż może jeszcze udźwignąć owo brzemię... Ugina się pod niem i zamiast korzystać z rad przedstawiciela światłego ogółu (reportera), zamiast widzieć swe zbawienie w tańszych obrońcach z „kwalifikacyą naukową,“ odpowiada:

— Wszystko to musi prawda, co pan gada, ale niech już tak idzie, jak się zaczęło...

Co może położyć kres łapactwu? — pyta *Gaz. lubelska*. Roli tępicieli nie podejmą się obrońcy przysięgli jednomyślnem unikaniem osób trzecich w przyjmowaniu spraw, bo brak im właśnie jednomyślności. Policya ją spełnić musi, korzystając z prawa wysiedlania osobistości, a działających na szkodę społeczeństwa. To ma być, zdaniem reportera, radykalny środek. Chyba o tyle, o ile jest nim tępienie perzu, którego korzeniom wolno pozostać w grucie.

Właśnie w końcu zeszłego miesiąca wydział karny sądu okręgowego w Lublinie w podobny sposób tępił perz społeczny. Na ławie oskarżonych zasiedli: prywatny obrońca Leopold Teodorowicz i Karol Kozyrski, urlopnik oraz łapacz. Wyłudzili oni od włościanina Antoniego Skoczylasa 30 rs. W zeszłym roku, w sierpniu, Karol Kozyrski przyprowadził do mieszkania Leopolda Teodorowicza małżonków Skoczylasów i zrwcając się do nich, rzekł: „Opowiedzieć panu prezesowi (!) sprawę i prosić o skutek.“ Teodorowicz wziął od Skoczylasów nakaz wykonawczy i pieniądze, a potem powiedział: „Bez mego pozwolenia żaden komornik nic zrobić nie może.“ Odesłał zaś ich z karteczką do pisarza gminnego, którego prosił o niewydawanie dokumentów tyczących się sprzedaży osady, egzekwowanej przez Skoczylasów. Obu tych doradców sąd „wysiedlił“ na rok do rot aresztanckich.

Są jednak plagi, których system wysiedlania nie dosięgnie. Co dla niedźwiadków, chcących grać rolę filoksery polskiej, znaczy władza dyskrecyonalna organów zarządu? Schowane w warstwie rodzajnej ziemi, tną sobie korzonki zbóż. Wróg rolnika, a jaki płodny i pracowity! co za tęgość zuchw! Upodobał sobie gminę Kotlice w powiecie tomaszowskim (gub. lubelska). Oto ślady korzystania z praw życia, pozostawione przez to zwierzę, zwane szkodnikiem, oto postać gospodarcza tych śladów: w dobrach Niewirków uległo zniszczeniu 90 morgów pszenicy i 80 jęczmienia (u włościan tejże wsi 12 m. pszen. i 20 jęczm.); w dobrach Dub 120 mr. pszenicy i 80 mr. jęczmienia (u włościan 30 mr. pszen. i 20 jęcz.); w majątku Perespa 80 mr. pszen. i 60 jęczmienia, w dobrach Kotlice 68 mr. pszen. i 27 jęcz. (u włościan 13 mr. jęczm.); w dobrach Cześniki pszenicy około 100 mr. Straty ogółem dosięgają 30,620 rs. Wobec tak wyśmienitej biesiady trudno się dziwić słowom korespondenta *Gaz. lubelskiej* z tomaszowskiego, że niedźwiadki dorosłe dochodzą trzech cali długości. Cóż ludzie na to? rolnicy? Ani się umywali do dzielności robaka. Na zlecenie naczelnika powiatu włościanie gminy kotlickiej zebrali się w urzędzie wójta dla obmyślenia środków tępienia. „Postanowiono“ wyszukiwać gniazda niedźwiadków, wykopywać je i uśmiercać. A miliardy jaj? Czy na przychowek zostaną? Boję się ujrzeć czerpanie wody rzeszotem.

Wolałbym, żeby ją połykały sikawki pożarne, a potem tryskały dzień i noc na płonące wsie, osady i folwarki, przynajmniej złakniona cyfr statystyka choćby o jeden dziesiątek tysięcy mniej zanotowała strat pogorzelowych w roku, a ucho nie łapało trwożnie w ciszy nocnej tyle szlochów naraz; ale wiem, że zgliszcza tworzy częściej ręka zemsty lub zawiści, niżeli nieostrożność i muszę ciągle słuchać żalów, któremi rozbrzmiewają latem pisma prowincyonalne. Muszę nieraz bzdurstwa czytać w ich łamach, z tego powodu nie brać udziału uczuciem w naiwnych wykrzyknikach i pytajnikach w rodzaju „szakale czy ludzie?“ *Kaliszanina* lub na temat „zdziczenia.“ Przeciwnie, gotów jestem stanąć w obronie tak szakala, jak dzikiego. Bo, pytam, co jeden albo drugi zawinili w tem, że złodziej-recydywista na morały prawione mu „odpowiada bez namysłu“:

— A toć pracowałem uczciwie, szwarcując towary i okowitę z Prus, ale od kiedy tam okowita podrożała i „objezdczyki“ tak obsadzili granicę, że się przez nią przedrzeć nie można, człek stracił zarobek, więc kraść musi..

Nie szukajmy miary własnej obrzydliwości w szakalu i dzikim: wystarczy samowstrętu dla nas cywilizowanych.

Tak samo nie należy raju utraconego obarczać winami współczesnych adamitów, jak to robi jedna ze wstydliwych Ew, hydropatka sandomierska, a zarazem korespondentka *Gaz. radomskiej.* Skarży się ona, że skutkiem całej chmary mężczyzn, „rozbierających się bez ceremonii na widoku, wskakujących i wyskakujących z wody, spacerujących w rajskim stroju,“ ona, przyzwoita niewiasta, spłoszona i odstraszona, musi z zamrużonemi oczami uciekać od łazienki! Wymyśla im z tego powodu, przemawia do nich słowami Chrystusa: „Odpuść im panie. albowiem nie wiedzą co czynią,“ czyny ich piętnuje mianem „skandalu rajskiego,“ nareszcie wyrządza im zaszczyt mianem „Adamów.“ Ostrzedz muszę szanowną hydropatkę, że w „raju“ u „Adamów“ (tj. dzikich) postępki wyż rzeczone były zwyczajem powszechnym, nie mogły się więc mienić „skandalem.“ Co się zaś tyczy sandomierskich czcicieli nagości, ci wiedzą, co czynią, a Pan im niech odpuści, że o tem pierwej nie pomyśleli. Sprzykrzyła im się obłuda, dotąd uprawiana, udawanie, skrytość, nędza myśli, nędza uczuć, może nawet starannie tajona — nędza ciała strawionego rozpustą: więc cisnęli na piaszczysty brzeg Wisły spodnie obcisłe aż do pękania, marynarki kuso skrojone i wiatrem podszyte, rury lśniące przedtem na rozdwojonych głowach, a potem chlust! do szarych toni: „oto nas macie, jakimi nas przyroda stworzyła!“ To też źle pani zrobiłaś, chłoszcząc ostremi słowy wątłą zawięź *adamityzmu* naszego. On jeszcze u nas nie spełnił posłannictwa. Nie tamujmy rodzimych kierunków! Serce mi bije radośnie, gdy słyszę, iż adamityzm szerzy się w Lublinie. Przyjdzie kolej na Radom, na Kielce, Kalisz, Piotrków, Płock, Łomżę, Warszawę — słowem, na wszystkie nasze grody i miasteczka, położone nad rzekami, strumykami i strugami. Prąd się wzmoże i z wód przeniesie do salonów, a wtedy odsłonimy się przed sobą...

Dla tego też nie czyhajmy na nowe objawy życia naszego, jak dzieciaki na wróbla. Coby się stało ze szlachetnym zamiarem fabrykantów tomaszowskich (w Rawskiem), gdybym ich zgromił zato, iż pragną przeniesienia zarządu powiatowego z Brzezin do swojego miasta? Zawsze gościnność była cnotą, a tembardziej uprzedzająca. Fabrykanci jej sporo zdradzają, jeśli gotowi są nietylko ponieść wszelkie z przeprowadzką organów połączone koszty, ale nawet dać pomieszczenie bezpłatne na biuro. Gdy się to stanie, będą mieli pod bokiem wzorowych urzędników (założyli oni sobie kasę zaliczkowo-wkładową), tudzież zastęp większy ludzi (mów: spożywców), nawiedzających Tomaszów.

„W pielgrzymkę do nas pójdą narody,“ ażeby podziwiać nietylko relikwie, lecz także oryginalność pątników naszych. Oto niedaleko stacyi Rudnia Poczajowska na drodze południowo-zachodniej podróżni skarżyli się nadkonduktorowi na towarzyszkę, zakłócającą im spokój chodzeniem ustawicznem po wagonie. Powaga pociągu kazała jej usiąść. Lecz „dama“ oświadczyła, że nie ma prawa tego zrobić. Ofiarowała swoje nogi na odbycie pielgrzymki do „ławry“ Poczajowskiej pieszo, lecz sił brak, sądzi więc, że świętej objacie stanie się zadość, gdy tę podróż odbędzie chodzeniem po wagonie. „Cel uświęca środki!“ — rzekli sobie podróżni, spoglądając z szacunkiem na pobożną duszę — i zamilkli ze skargą.

Zygmunt Atanazy.

CUDZE GŁOSY.

Wędrowiec zamieszcza ciekawe wspomnienia głośnego śpiewaka, M. Kamińskiego, który tak opowiada o występach swych w Warszawie:

„O ile tem powodzeninm mojem zasmucili się przyjaciele włochów, o tyle generał był uradowany. Nazajutrz na wodach, już Generała obrabiał przezacnej pamięci redaktor Antoni Lesznowski i cenzor Sobieszczański, by mnie w Warszawie zatrzymać i zaraz mnie związać kontraktem. Posłano natychmiast po mnie. Olbrzymi woźny prezesa nie odstąpił ode mnie ani kroku, ażem się ubrał, wyszedł i stanął przed generałem. Umowa nasza nie trwała nad kilka minut. Kontrakt zrobiliśmy na oddartych dwóch kartkach z notyski. Mówił on: „Nie mogę ci dać tyle pensyi, ile ma Dobrski, boś tego jeszcze nie wart, i jemu by się tem ubliżyło. Będziesz miał 18,000 złotych (Dobrski miał 20,000) ale jeżeli żądasz jakiego awansu (zaliczki), to mów otwarcie; urlopu zaś nie dam wcale. byś mi nie umknął za granicę. Na to oświadczyłem gynerałowi, że mam obowiązki dla nadwornego teatru w Dessau i żem tam winien 8,000 talarów.

— A chcesz je zapłacić?—pytał generał.

— Naturalnie, muszę! to honorowe!

— Więc dobrze. idź do kasy, daj Gwozdeckiemu tę karteczkę, a on ci tam to wszystko wypłaci.

Skłoniłem się wdzięcznie generałowi i chciałem już odejść, gdy ten zawołał:

— Czynię to chętnie, ażeby cię do nas przywiązać, stawię jednak dwa warunki ustne do twego kontraktu, a te są: nie wolno ci kochać się w Ciemskiej (Ziemińskiej) i nie wolno grać w karty z pułkownikiem Listowskim. Co do tych właśnie warunków kontraktu, zdaje mi się, że byłem niewiernym generałowi, nie mogłem ich dotrzymać, tak mnie ciągnęło do tych obojga, tyle tylko miałem wymówki przed generałem, żem się kochał u Listowskiego, a w karty grywałem u Ziemińskiej.

— Ale, ale. jak będziesz w biurze, przedstaw się dyrektorowi Jasińskiemu. i powiedz, żem cię na lat dwa stale dla nas zaangażował.

Taką sarkastyczną ironią chciał generał odpłacić Jasińskiemu za to, że go zapewniał, iż niema artystów polaków, a mnie jeno na udowodnienie tego sprowadzić postanowił.

PRASA ROSYJSKA.

Wilensk. Wiestnik, mówiąc o obchodzie 50-letniego istnienia soboru prawosławnego w Warszawie i nawiązując swoje uwagi do artykułu *Dniewn. warsz.*, pisze:

„Katolicyzm i poczucie słowiańskie wyłączają się nawzajem. Kościół łaciński, przyniósłszy ze sobą dla ludów słowiańskich romańsko-germańską kulturę, stanowi coś tak dalece obcego duchowi słowiańskiemu, że wiele plemion pogańskich Słowiańszczyzny zginęło w walce z wojującem łacińtswem a te, które uległszy konieczności, przyjęły je, już to rozpłynęły się w sąsiednich plemionach, głównie w niemcach, już utraciły byt polityczny, a nawet odrębność swą wśród narodów europejskich. Żaden podstęp ani chytrość nie poradzą na to, że słowianie katoliccy i łacińscy tylko przez szczególne natężenie sił, dzięki nadzwyczajnym okolicznościom i rdzennym słowianom zbudzili się gdzieniegdzie ze snu i walczą z germanizmem, a miejscami i z romanizmem.

W dalszym ciągu *Dniewnik* cytuje fakta z dziejów walki Słowiańszczyzny z katolicyzmem i gwałty, do jakich ten ostatni się uciekał, byle rozpowszechniać swe dogmata. Zwraca przytem *Dniewnik* uwagę, że cerkiew prawosławna nigdy nie używała przemocy i nie gwałciła woli i sumienia tych, którym prawdy Chrystusowe wykładała, i to broni ją nawet przed oszczerstwami, jakie rozsiewają jej wrogowie. Dzięki temu przymiotowi tam, gdzie stosunki polityczne nie stają na przeszkodzie, katolicy i prawosławni żyją zgodnie. nieporozumienie zjawia się dopiero, gdy prozelityzm katolicki wyciąga dłoń na trzodę prawosławną.

Że dotąd możliwi są jeszcze w Rosyi unici t. j. krnąbrni synowie ludu rosyjskiego, winna temu jest niewątpliwie intryga polska, widząca w unii potężną broń dla wydarcia samowiedzy rosyaninowi.

W Warszawie, w tem ognisku katolicyzmu, jest bardzo mało świątyń prawosławnych: sobór katedralny jest w Warszawie nieomal jedyną cerkwią prawosławną, wskutek czego tak bywa przepełniony pobożnymi, że kto przyjdzie trochę później, nie dostaje się już do środka. Jest jeszcze jedna cerkiewka na Pradze, ale zbyt oddalona od miasta. To też godne poparcia jest życzenie *Warszawskiego Dniewnika*, „aby Warszawa rychło mogła ozdobić się nową, obszerną świątynią prawosławną i to na pryncypalnej ulicy i w widocznem miejscu. Głos ogólny wybrał już to miejsce, a mianowicie na Krakowskiem Przedmieściu, tam, gdzie obecnie stoi gmach komendantury. Piękna i obszerna cerkiew w centrum Warszawy świadczyłaby, że dostatecznie silne jest prawosławie na tych kresach państwa rosyjskiego, że szanowane jest przez wszystkich i że rosyanie nie odgrywają tutaj roli przybyszów, ale sami są gospodarzami...“

Dalej w *Dniewniku* mieści się mowa jednego z uczestników obchodu; podajemy z niej niektóre wyjątki.

„Wierzę mocno, że gdyby wstał z grobu Cesarz Mikołaj, ten twórca wielkiej idei rosyjskiej w tym kraju, i orlim swym wzrokiem objął byłą Polskę, która tak ciężko dotknęła jego szlachetne rycerskie serce w roku 1830 i 1831, to byłby całkiem zadowolony z postępów drogiej mu Rosyi. Tak jest, nie na dziesiątki, ale na setki tysięcy liczą się teraz prawosławni w tym kraju; mowę rosyjską słychać wszędzie, na wybitniejszych urzędach siedzą wierni synowie Rosyi; system szkolny prowadzony jest w duchu czysto rosyjskim, a choć niektóre pisma polskie zalecają rodzicom uczącej się młodzieży, aby karcowali z niej kierunek szkolny, nie skażą ci obłąkani fanatycy świętej sprawy rosyjskiej. Wprowadzono dalej reformy administracyjne, włościańskie, sądowe; a co najważniejsza, świątynie boże zaczynają pojawiać się to tu, to tam, a w gub. siedleckiej i lubelskiej tysiące oderwanych od prawosławia rosyan przyłączyło się do cerkwi. Słowem w ciągu tych lat 50 sprawa rosyjska prawosławna stanęła tu mocną nogą i gospodarna ręka rosyjska widnieje wszędzie.

Dlatego to dzisiejsza uroczystość jest tryumfem prawosławia i rosyan w Przywiślańskim kraju. Zapewne, że wiele jeszcze wypada zrobić, ale wierzymy w niespożytą siłę Rosyi i w świętość jej zadania w tym kraju i mamy nadzieję, że będzie doprowadzone do końca.

Mamy nadzieję, że kiedy nasz sobór katedralny obchodzić będzie stuletni jubileusz, to stanie się prostą cerkwią parafialną, albowiem wówczas stać będzie w Warszawie inny sobór godniejszy wielkości i sławy Rosyi i że w ciągu przyszłych lat 50, prócz tego w wielu innych miejscowościach Warszawy zabłysną złote makówki nowych cerkwi prawosławnych i nastanie nakoniec czas, kiedy w święto Warszawa brzmieć będzie dźwiękiem dzwonów prawosławnych, wzywających ludzi prawosławnych na modlitwę.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stosownie do obowiązujących przepisów, urządzanie studenckich wieczorów, koncertów, tudzież innych widowisk winno się odbywać pod dozorem władz miejscowych. Tymczasem doszło do ich wiadomości, że bilety na takie zabawy, zamiast sprzedawać się przy wejściu, roznossone są po domach, przyczem pobierane za nie pieniądze często nie są obracane na cel właściwy. Dla ściślejszej kontroli pod tym względem, ministeryum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, ażeby bilety na wszelkie zabawy i widowiska, dawane na rzecz studentów, odbijane były w drukarniach i litografiach tylko za okazaniem pozwolenia władzy naukowej, oraz żeby tłoczone były z talonami. O tem ze strony ministeryum oświaty powiadomiono kuratorów okręgów naukowych i włożono na nich obowiązek dopilnowania wykonania powyższego nakazu.

Zaciekłość pruska. Ledwie p. Danielewski w dniu 30 z. m. opuścił więzienie, gdy mu znowu wytoczono proces za artykuł, zamieszczony w piśmie ludowem p. t. *Przyjaciel.*

Henryk Kowalski, znany pianista i kompozytor, od dwóch lat dyrektor konserwatoryum muzycznego i towarzystwa filharmonijnego w Sydney, wystąpił tam z koncertem na korzyść biednych. Czysty dochód wyniósł 25,000 fr.

Przed tegorocznym poborem wojskowym centralny komitet statystyczny roześle do komisyj popisowych szematy, na których wnoszone będą dane o cechach anatomicznych, fizyologicznych i chorobnych u rekrutów. Ma to dotyczyć równie wziętych do wojska, jak i uwolnionych od niego.

Ze sztuki. Nowy obraz H. Siemiradzkiego: „Chopin grający w salonie ks. Ant. Radziwiłła w Berlinie," wkrótce będzie wystawiony w Poznaniu.

— W Filadelfii panna Ewelina Szlagierówna, której rodzice mieszkają stale w Ameryce od r. 1865, otworzyła pracownią artystyczno-malarską. Obrazy jej, przeważnie rodzajowe, mają tam wielkie powodzenie.

Komisya specyalna do rozpatrzenia sprawy wyższego wykształcenia kobiet uznała za potrzebne otwarcie, prócz wszechnicy z wydziałami matematycznym i historyczno-filozoficznym, instytutu medycznego, do którego miałyby wstęp kandydatki posiadające patenty dojrzałości, oraz świadectwa znajomości języków starożytnych. Odnośny projekt ma być przedstawiony do ostatecznej decyzyi.

Bibliografia. Wyszła w Petersburgu broszura p. t. „Co znaczy zaćmienie słońca, przepowiedziane na 19 sierpnia r. b.?" Autorem jest p. Józef Klejber.

— Dr. Henryk Chrzanowski wydał w oddzielnej broszurce swoje uwagi nad rozprawą p. Korzybskiego p. t. „Melioracye rolne." Odbitka *Hodowcy.*

Seminaryum żydowskie z wykładem polskim ma być założone w Poznaniu. Będzie to rozsadnik dla rabinatu w dzielnicach dawnej Polski.

Zjazd dentystów odbył się w Berlinie w dniach 1, 2 i 3 b. m. Brało w nim udział 227 osób, w tej liczbie pięciu polaków: pp. Zieliński z Warszawy, Goldstein z Radomia, dr. Rembowski z Wrocławia, Kasprowicz z Poznania i Bocian z Galicyi.

Homeopaci niemieccy na ostatnim kongresie swoim uchwalili założenie związku centralnego wszystkich zwolenników Hanemanna tudzież utworzenie szpitala homeopatycznego w Berlinie.

Studenci polacy w Wiedniu postanowili uczcić pamięć prof. Hanusza przez wmurowanie tablicy w jednym z kościołów tamecznych.

Pensyę literacką roczną w kwocie 200 fst. będzie dostawał Antoni Trollope z listy cywilnej królowej Wiktoryi.

W Sieradzu zawiązuje się towarzystwo wioślarskie na Warcie.

W Lublinie powstanie szkoła kucharek z kursem jednoletnim.

Na kongresie volapükistów w Monachium uchwalono: utworzenie klubu międzynarodowego i wyznaczenie honorowej pensyi dla Schleyera.

Encyklopedya hebrajska zacznie wychodzić w Warszawie pod redakcyą J. Goldmana. Będzie to przekład niemieckiej encyklopedyi Brockhausa.

Biblioteka Kraszewskiego. Wykonawca woli znakomitego pisarza, p. F. Kraszewski porządkuje obecnie razem z p. Michałem Pawlikiem księgozbiór i muzeum ojca. Wszystkich książek jest około 20,000. Wkrótce będzie sporządzony katalog. Pomiędzy książkami znajduje się dużo rękopisów i dokumentów do dziejów różnych prowincyj dawnej Rzeczypospolitej. Między listami — są Szewczenki, pisane do Bronisława Zaleskiego z Orenburga.

Traktat handlowy z Hiszpanią, zawarty 1885 r. przez państwo rosyjskie, przedłużony został do d. 18 stycznia 1888 r.

Katastrofa nad Niagarą. W d. 12 b. m. na kolei Toledo-Pesria-Western, w pobliżu stacyi Blokníngton, niedaleko słynnego wodospadu, załamał się most pod pociągiem wiozącym 960 osób. Most ów wisiał nad rowem 10 stóp długości i 15 szerokości, a był nadwątlony w wiązaniu pożarem wynikłym skutkiem iskry z poprzedniego pociągu. Sto osób znalazło śmierć, około 400 poniosło rany. Byli to turyści, jadący obejrzeć wodospad.

Wynalazki. Departament handlu i rękodzielnictwa wydał przywileje własności następującym osobom: p. Paszkowskiemu na przyrząd kontrolujący bieg lokomotywy; „Towarzystwu automatycznego wydawania pocztowych kart otwartych" na aparat do szybkiego przyjmowania pieniędzy, tudzież na inny do wydawania towarów w składach i magazynach; p. Grünfeldowi na nowy przyrząd ratunkowy i pływacki.

Na zjeździe przedstawicieli towarzystw kolejowych niemieckich i rosyjskich, należących do związku kolejowego rosyjsko-niemieckiego, odbytym w Eisenach, uchwalono pewną zniżkę taryfy towarowej dla bezpośredniej komunikacyi.

Zmarli. Jak Krejczl, gorący patryota czeski i prof. uniwersytetu w Pradze Wykładał mineralogią. Celniejsze jego prace naukowe: „Z królestwa roślin," „Orografia okolic Pragi," „Metale i rudy," „Krystalografia" itp. Jako beletrysta, pod pseudonimem Prokopa Rudnego, mniejszy zyskał rozgłos,

— Baltzer, w Nordhausenie, najżarliwszy apostoł jarstwa. Wydał przeszło 40 broszur i dzieł o poslannictwie bobu i kapusty z podkładem społeczno religijnych poglądów.

— Bruno Zawadzki, w Nieświeżu, kustosz księgozbioru ks. Radziwiłłów. Urodził się w Wilnie 1837 r. Był wybornym bibliografem.

— Hieronim Krzesiński, w Poznaniu. Ur. 1820 r. na wsi pod Ostrowiem. Był profesorem w Trzemesznie, następnie w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznanię. Wydał: „De Jovis et Junonis apud Homerum ratione constituenda atque interpretanda," oraz „Studyum o Panu Tadeuszn." Był współpracownikiem pism pedagogicznych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Dind. Tak — a nie mogło być inaczej.

P. J. Wid. Najzamożniejsza redakcya nie jest w stanie nabywać wszystkich książek polskich, jakie wychodzą. Dla nakładcy przesłanie prasie kilkudziesięciu egzemplarzy jest ofiarą drobną, a nawet opłacającą się. W zaścianku naszym nie wszyscy wydawcy rozumieją ten swój obowiązek, a raczej interes. I dla tego możemy tylko z cudzych doniesień uwiadomić Pana, że „Słownik geograficzny" dalej wychodzi.

P. Kl. Prz. Na miłosierdzie — od którego i redaktorzy nie powinni być wyłączeni — zaklinamy Pana, nie przysyłaj nam swych „dysput z wiecznością."

P. Abc. w Poznaniu.. O, my bardzo dobrze wiemy, co Wy w takim wypadku zrobilibyście. Ale tu trzeba pamiętać o nas.

Pani J. Dziękujemy za życzliwe uczucia i podpisujemy cały rozumny wywód. Ale cóż z tego?

P. Wikt. Sz. Pojedynek jest tak bezmyślnym barbaryzmem, że ludzkość kiedyś bardziej się go będzie wstydziła, niż tatuowania skóry.

B. E. My piszemy: „mam racyę," inni: „mam racyą." A obie strony — mają racyę.

Sprostowanie. W artykule „Szal ascetyczny," w nr. 30 str. 354, szp. 1, w. 13 od dołu zam. to, czyt. *te;* szp. 3, w. 2 od dołu zam. Pochomiusza—*Pachomiusza;* str. 355, szp. 1, w. 33 od dołu zam. umoralniania — *umartwienia;* szp. 2, w. 11 z góry zam. Teodebesta — *Teodeberta.* Nr. 31, str. 365, szp. 3, w. 28 z dołu, zam. Pohamiusz — *Pachomiusz.*

— W nr. 33, kol. 1, szp. 1, zamiast Społeczeństwo zwierzęce, czyt. *Społeczeństwo pierwotne.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Августа 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.